H. Beam Piper

Niewolnik jest niewolnikiem

(A Slave is a Slave)

Analog, April 1962
Ilustracje: Schoenherr
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

Zawsze wszyscy odczuwali zdecydowane współczucie dla biednych, łagodnych, uciemiężonych niewolników… dobrych, zwykłych ludzi, uciskanych przez okrutnych i wyniosłych panów. Czy może tak się przydarzyć, że uczucia te zostaną niewłaściwie ulokowane…?

Jurgen, Książę Trevannion, wziął filiżankę kawy i uniósł ją do ust. Natychmiast jednak opuścił rękę. Te roboty Marynarki zawsze nalewały zbyt gorącą kawę. Marynarze musieli mieć chyba naprawdę gardła wyłożone collapsium. Wolną ręką nacisnął przycisk na klawiaturze robota, otrzymując w wyniku tej akcji zapalonego papierosa. Odwrócił się, odstawił kawę na stojący przed nim pulpit dowodzenia i rozejrzał się wokoło. Napięcie w Centrali Dowodzenia nieco już opadło, uporządkowane pandemonium ostatnich trzech godzin, szybko zamierało. Oficerowie obojga płci, w czerwonych, niebieskich, żółtych i zielonych kombinezonach, wstawali właśnie ze swoich siedzeń, opuszczając przydzielone im stanowiska i zbierając się w grupki. Śmiechy i rozmowy, były nieco zbyt głośne, jak to sobie nagle uświadomił. Musieli więc być zafrasowani, i zastanawiał się, czy sam nie powinien trochę podzielać tego uczucia. Nie. Nie było nic więcej, co mógłby jeszcze zrobić, w jakiejkolwiek sprawie, tak więc frasunek nie byłby specjalnie uzasadniony. Uniósł ponownie filiżankę i ostrożnie pociągnął łyczek kawy.

– To wszystko, co możemy w tej chwili zrobić – powiedział mężczyzna obok niego. – Teraz pozostało nam już tylko siedzieć i czekać na następny ruch.

Podobnie jak i wszyscy pozostali, komodor liniowy Vann Shatrak miał na sobie pokładowe umundurowanie polowe. Jego kombinezon miał czarny kolor, upstrzony na piersiach i ramionach, złotymi oznaczeniami rangi. Komodor był kompletnie łysy. Z niemal idealnie kulistej głowy Shatraka, wyrastał podobny do dzioba wielki nos, ściągający w dół krzywiznę jego brwi, a proste linie znajdujących się pod nim ust i podbródka, raczej wzmacniały ten efekt, niż go osłabiały. On również wziął kawę. Połknął ją jednym łykiem, na raz.

– To była bardzo dobra robota, panie komodorze. Nigdy jeszcze nie widziałem tak gładko przebiegającej operacji lądowania.

– Zbyt gładko – odparł Shatrak. – Nie podoba mi się to. – Popatrzył podejrzliwie na rząd ekranów widokowych.

– To było zupełnie niepotrzebne!

Słowa te padły z ust młodego Obraya, hrabiego Erskyll, siedzącego po lewej ręce komodora. Był on generację młodszy od księcia Trevanniona, tak samo jak Shatrak był generację starszy. Obaj, w przeciwieństwie do

niego, mieli gładkie twarze. To dziwne, jak moda na zarost powracała i odpływała, wraz ze zmieniającymi się pokoleniami. Obray również ze zmartwieniem przeglądał się lądowaniu, ale z innych powodów niż inni. Teraz zaś zareagował gniewem.

– Mówiłem wam od początku, że to było zupełnie niepotrzebne. Widzicie teraz? Oni nie byli w stanie stawić najmniejszego oporu, osamotnieni…

Zabuczał osobisty ekran komunikacyjny Jurgena. Odstawił kawę i pstryknął przełącznikiem. To był Lanze Degbrend. W teorii, Lanze poleciał z nim, jako asystent Podsekretarza Stanu Ministerstwa. W praktyce jednak był jego partnerem szachowym, towarzyszem konwersacji, prawą ręką, trzecim okiem i uchem, a czasami palcem naciskającym spust. Teraz Lance miał na sobie kombinezon polowy oficera Wojsk Desantowych Marynarki, na głowę założył stalowy hełm z uniesioną transpexową przyłbicą, a przez ramię miał przerzucony karabinek. Jurgen uśmiechnął się szeroko i wykonał przerysowany wojskowy salut. Zachichotał.

– Ha, popatrz tylko na siebie! Chyba nie można tego uznać za idealny przykład właściwego stroju dyplomatycznego!

– Wie pan, sir, obawiam się że można, przynajmniej na tej planecie – odparł Degbrend. – To pułkownik Ravney nalegał na to. Twierdzi, że sytuacja na dole jest ciągle płynna, co jak zrozumiałem, oznacza że każdy strzela do każdego. Mówi, że zajął główną stację teletransmisyjną, w wielkiej budowli, którą miejscowi nazywają Cytadelą.

– No, dobrze. Przekaż tam nasze obwieszczenie, tak szybko, jak tylko zdołasz. Numer Pięć. Wraz z pułkownikiem Ravneyem możecie zdecydować, jakie modyfikacje są potrzebne, aby dostosować je do tej konkretnej sytuacji.

– Numer Pięć. Naprawdę twarde – zauważył Degbrend. – Rozumiem, że przez modyfikacje nie rozumie pan jego złagodzenia?

– Och, nie. Nie ma sensu dolewać wody do drinka. Wzmocnij go.

Lanze Degbrend odpowiedział szerokim uśmiechem, zerwał swój karabinek z ramienia i ułożył w pozycji „prezentuj broń”. Ciągle stał w ten sposób, kiedy Trevannion wyłączył ekran.

– **T**o nadal nie usprawiedliwia tej niepotrzebnej i niczym niesprowokowanej agresji! – mówił właśnie Erskyll do Shatraka. Jego szczupła twarz płonęła ogniem, a głos wręcz drżał z oburzenia. – Przybyliśmy tutaj, aby pomóc tym ludziom, a nie po to, by ich mordować.

– Nie przylecieliśmy tutaj, ani w tym celu, ani w tamtym, Obray – wtrącił się Jurgen, odwracając się w stronę młodszego mężczyzny. – Jesteśmy tutaj, aby dokonać aneksji ich planety do Imperium Galaktycznego, niezależnie od tego, czy oni chcą zostać zaanektowani, czy nie. Komodor Shatrak użył najszybszej i najbardziej efektywnej metody, pozwalającej na osiągnięcie tego celu. Próba negocjacji z nimi, z pozycji poza planetą, nie przyniosłaby żadnych dobrych efektów. Słyszałeś przecież te ich transmisje telewizyjne.

– Autorytarne – stwierdził Shatrak, a potem pompatycznie sparodiował: – Wszyscy mają zachować absolutny spokój. Władze Właścicielstwa Adityi podejmą odpowiednie działania. Konwokacja Lordów-Panów zebrała się na specjalnej sesji i zdecyduje jakie podjąć kroki w stosunku do najeźdźców. Administratorzy otrzymali odpowiednie pouczenie, aby uspokoić kontrolerów. Nadzorcy dopilnują, żeby robotnicy nie przerwali wykonywania swoich zadań. Każdy, kto nie wykona poleceń wydanych w imieniu Właścicielstwa Adityi, zostanie ukarany z najwyższą surowością.

– Także bardzo statyczne. – dodał Jurgen. – Od pięciuset lat nie przyleciał do tego układu żaden statek kosmiczny. Konwokacja, jak zakładam to jakiś rodzaj parlamentu, nie zbierała się na specjalnej sesji od dwustu pięćdziesięciu.

– Tak. Zajmowałem już przedtem planety z tego rodzaju rządem – dokończył Shatrak. – Z nimi nie można dyskutować. Po prostu trzeba przechwycić ich centrum władzy, szybko i twardo.

Hrabia Erskyll nic nie odpowiedział na te słowa. Był przeciwny użyciu siły. Siła, według niego, była rozwiązaniem ostatecznym, świadczącym o niekompetencji, co zresztą oświadczał już wielokrotnie, od czasu rozpoczęcia tej operacji. Oczywiście miał absolutną rację, aczkolwiek nie w tym sensie, o jaki mu chodziło. Jedynie niekompetentny człowiek czeka z użyciem siły tak długo, aż stanie się ona ostateczną skrajnością, a przez to jest już za późno, aby użyć czegokolwiek innego, nawet modlitwy.

Ale jednocześnie, Erskyll sprzeciwiał się autorytaryzmowi, poza, oczywiście, przypadkami, kiedy był on naprawdę niezbędny dla dobra ludzi. No i nie lubił rządzących, którzy nazwali się Lordami-Panami. Dobrzy, demokratyczni władcy, powinni przyjąć nazwę Sług Ludu. Zatopił się więc w milczeniu, wpatrując się tylko w ekrany wizyjne.

Na jednym, przekazującym sygnał z zewnętrznych kamer samej *Empress Eulalie*, widać było rozciągającą się sto mil w dole powierzchnię planety, położony pod nimi kontynent wcinający się, w rozległe, odbijające światło słońca, morze, rozlewające się daleko aż poza zakrzywioną linię horyzontu, oraz czarne niebo, usiane świecącymi stałym światłem gwiazdami. Pięćdziesiąt mil niżej, słońce pobłyskiwało na trzy tysiące trzystustopowych kulach, dwóch krążowników transportowych, Canopusie i Mizarze.

Inny ekran, przekazujący obraz z Mizara, dawał jaśniejszy, ponieważ bardziej szczegółowy, obraz powierzchni: zielonych terenów, poprzecinanych żyłami rzek, pomarszczonych górami, z niewielkimi miasteczkami, wyglądającymi po prostu jak kropki, przesłanianymi z rzadka porozrzucanymi kłębkami białych obłoków. Nie było widać niczego podobnego do dróg. Na planecie nie było tubylczej rasy rozumnej, a w ciągu trzynastu wieków, odkąd została ona skolonizowana, Terro-ludzka ludność nigdy tak do końca nie utraciła wiedzy o użyciu pojazdów kontragrawitacyjnych. Na tym ekranie, jeszcze bardziej w dole, widać było malutkie iskierki czterech niszczycieli *Irmy*, *Irene*, *Isobel* i *Iris*.

Na przekazie z *Irene*, mogli oglądać powiększony obraz miasta. Na mapach nie późniejszych niż sprzed ośmiuset lat, nazywało się ono Zeggensburg. Zostało zbudowane w czasach pierwszej kolonizacji, kiedy rządziła jeszcze stara Federacja Terrańska. Wysokie budynki, strzelały w górę pośród rozciągających się między nimi obszernych pustych przestrzeni, pełnych trawników, parków i ogrodów. W samym centrum, oddzielona od wszystkich innych budynków szerokim placem, rozpościerała się potężna masa Cytadeli, ogromnej cylindrycznej wieży, wyrastającej spomiędzy skupiska mniejszych cylindrów, z szeroką, okrągłą, platformą lądowiska, na dachu, zwieńczonej nowo podniesioną flagą Imperium Galaktycznego.

Na południu i na wschodzie, długim półksiężycem, rozciągało się drugie miasto. Stare mapy pokazywały, że tam powinien znajdować się port kosmiczny Zeggensburga, ale nie pozostało po nim nawet śladu. To, co powstało w jego miejscu, ewidentnie było dzielnicą przemysłową, zlokalizowaną w punkcie, w którym często występujące wiatry, odpychały pyły i dymy, których trochę było widać nad miastem. Najbardziej zaskakującą rzeczą były jednak ulice. Długie, biegły zakrzywione wzdłuż półksiężyca, a krótsze przecinały je w regularnych odstępach, formując kwartały budynków. Nigdy przedtem nie widział miasta o podobnym układzie ulic i wątpił, czy ktokolwiek w Imperium mógł takie oglądać. Normalnym rozwiązaniem były długie aleje dające wygodny dostęp do ruchu powietrznego niskiego poziomu i krótkie, kręte przejścia, a nie coś takiego jak tutaj. Widział, oczywiście, zdjęcia miast tubylców, kolonizowanych w czasach Federacji, i bardzo starodawne obrazy miast na pre-atomowej Ziemi. Ale ci ludzie mieli przecież kontragrawitację. Dowodziło tego pełne wież i szerokich przestrzeni miasto, leżące tuż obok tego pociętego siatką ulic anachronizmu.

Tak niewiele wiedzieli o tej planecie, którą mieli podbić i wciągnąć pod władzę Imperium. Została skolonizowana trzynaście wieków temu, w czasie ostatniego wybuchu ekspansji przed Wojną Państw Układu i dezintegracją Federacji Terrańskiej. Została nazwana Aditya, zgodnie z panującą w tamtych czasach modą, na pamiątkę bliżej nieokreślonego zapomnianego bóstwa z jakiegoś nieznanego i pradawnego panteonu. Mniej więcej wiek później odłączyła się, albo została porzucona przez Federację, a następnie kontakt z nią w ogóle się urwał. Wszystkie informacje, jakie udało im się zebrać, pochodziły ze starych rejestrów Federacji, ciągle istniejących na Baldurze. Spowijającą wszystko, co się później działo, ciemność, rozjaśniał tylko jeden rozbłysk, kiedy parę kolejnych informacji pokazało się w rejestrach na Morglay.

Morglay była jedną z Planet-Mieczy, zasiedloną przez buntowników uciekinierów z planet Państw Układu. W większości byli to żołnierze i marynarze, było z nimi sporo kobiet, a wielu z nich było wykwalifikowanymi technikami, inżynierami, naukowcami. Udało im się zabrać ze sobą znaczne ilości sprzętu i przez trzy stulecia żyli w izolacji, rozprzestrzeniając się na dwanaście wcześniej nieodkrytych planet. Excalibur, Tizona, Gram, Morglay, Durendal, Flamberge, Curtana,

Quernbiter. Ich nazwy były wyliczanką legendarnych mieczy z mitów Starej Terry.

Potem wylali się, nagle i katastrofalnie, na to co pozostało z Federacji Terrańskiej, jako Kosmiczni Wikingowie, niosący ze sobą grabież i zniszczenie, dopóki nowo utworzone Imperium nie podźwignęło się na tyle, aby ich zwyciężyć. W szóstym wieku ery przedimperialnej, jedna z ich flot dotarła z Morglay na Adityę.

Adityanie z tych czasów byli niemal barbarzyńcami. Potomkowie oryginalnych osadników, stali się niewolnikami należącymi do innych barbarzyńców, którzy przybyli na planetę jako najemnicy w służbie jednego z miejscowych wodzów, a potem pozostali, aby grabić i rządzić. Podbicie ich było łatwą sprawą. Kosmiczni Wikingowie zajęli Adityę i uczynili z niej swoją siedzibę. Przez kilka wieków istniała łączność między nimi i ich ojczystą planetą. Potem Morglay została wmieszana w jedną z międzyplanetarnych wojen dynastycznych, które rozpoczęły dekadencję Kosmicznych Wikingów, i Aditya ponownie zniknęła z oczu historii.

Do dzisiejszego poranka, kiedy historia powróciła, w postaci czarnych statków Imperium Galaktycznego.

Dogasił papierosa i wezwał robota, aby podał mu następnego. W tym czasie Shatrak powiedział:

– Widzi pan, mój drogi hrabio Erskyll, naprawdę musieliśmy przeprowadzić to w taki sposób, dla ich własnego dobra. – Jurgen nie podejrzewał komodora o tego rodzaju przebiegłość. W przypadku Obraya of Erskyll cokolwiek by się nie zrobiło, dawało się to usprawiedliwić, jeżeli wykonywane było to dla czyjegoś dobra. – Nasze rozwiązanie polega na tym, że wylądowaliśmy znienacka, i zanim ktokolwiek mógłby coś zrobić, zneutralizowaliśmy ich armię i przechwyciliśmy centrum rządowe. Gdybyśmy przeprowadzili tę operację w sposób proponowany przez pana, ktoś mógłby stawić opór, a w wyniku tego musielibyśmy zabić jakichś pięć, sześć tysięcy ludzi, zmieść kilka miasteczek, oraz w dodatku stracilibyśmy również wielu naszych własnych żołnierzy. Można wręcz powiedzieć, że zrobiliśmy to w tym celu, aby uratować ich przed nimi samymi.

Obray of Erskyll zdawał się ciągle mieć wątpliwości, ale zanim zdążył je wyartykułować, uwagę Shatraka przyciągnął do siebie jego ekran komunikacyjny. Komodor przerzucił przełącznik, i na ekranie pojawił się zastępca komodora, kapitan Patrique Morvill.

– Sir, właśnie otrzymaliśmy raporty, że niektórzy z ludzi Ravneya przechwycili kilka baz wyrzutni pocisków rakietowych, wokół miasta. Jego zwiad powietrzny przekazuje mu, że jest ich tam całe mnóstwo. Mam tu jednego z oficerów z oddziałów, które brały w tym udział. Powinien pan posłuchać, co ma nam do powiedzenia, sir.

– No cóż, dobrze! – Vann Shatrak głęboko odetchnął ze świstem. – Nie miałem zamiaru o tym mówić, ale trochę mnie one martwiły.

– Niech pan poczeka na to, co nam powiedział porucznik Carmath. – Morvill zdawał się dusić w sobie śmiech. – Jest pan gotowy na jego wysłuchanie, panie komodorze?

Shatrak skinął głową. Morvill kiwnął ręką i zniknął w rozbłysku wszystkich kolorów tęczy. Kiedy obraz ma ekranie nabrał ostrości, spoglądał z niego młody porucznik sił desantowych, w polowym mundurze. Zasalutował i podał swoje nazwisko, rangę oraz jednostkę.

– Sir, chodzi o tę bazę wyrzutni pocisków rakietowych, którą zajmuję. Położona jest jakieś dwadzieścia mil na północny zachód od miasta. Zajęliśmy ją trzydzieści minut temu, kompletnie bez żadnego oporu. Jest tutaj mniej więcej czterystu ludzi. Z nich, może ze dwunastu, dosłownie tuzin, to żołnierze. Reszta to cywile. Dziesięciu szeregowych, jakiegoś rodzaju podoficer i coś, co okazało się być oficerem. Oficer miał pistolet, naładowany do pełna. Sierżant miał karabin półautomatyczny, pusty, z dwoma załadowanymi zasobnikami przy pasie. Szeregowi mieli karabiny, puste, i nie mieli żadnej amunicji. Oficer nie wiedział nawet, gdzie przechowywana jest amunicja do karabinów.

Shatrak zaklął. Porucznik skinął głową.

– Dokładnie tak samo zareagowałem, kiedy mi o tym powiedziano, sir. Ale za to, całe to miejsce jest wspaniale utrzymane. Każdy trawnik jest idealnie wykoszony, najmniejsze nawet drzewo starannie przycięte, wszystko aż się błyszczy, jak przy porannej inspekcji. A budynek sztabowo-biurowy wystarczyłby dla pełnej dywizji…

– A co z arsenałem bazy, panie poruczniku? – zapytał Shatrak, z powstrzymywaną niecierpliwością.

– Ach, tak. Arsenał, sir. Jest tu osiem dużych wyrzutni do wystrzeliwania rakiet o zasięgu planetarnym, albo nawet pozaplanetarnym. Wszystkie lśnią wypolerowane, jak klejnoty koronne. Ale żadna z nich, powtarzam, żadna, nie jest zdolna do działania. A ponadto w całej instalacji nie ma ani jednego pocisku rakietowego.

Kontrola twarzy Shatraka, zdała egzamin. Wyglądała tylko na nieco bardziej intensywną, co sprowadzało się zresztą do tego samego.

– Poruczniku Carmath, jestem niemal pewien, że usłyszałem pana dobrze, ale tak dla pewności. Powiedział pan…

Powtórzył informację porucznika, niemal słowo w słowo. Carmath skinął potwierdzająco głową.

– Dokładnie tak, sir. Silosy pocisków rakietowych są wypełnione po brzegi starymi fotografiami, nagraniami i szpulami mikrofilmów. Na wyrzutniach, nie ma zainstalowanych kompletnie żadnych systemów śledzenia i sterowania lotem pocisku. We wszystkich mechanizmach startowych brakuje podstawowych części. Jest tutaj wyrafinowany zestaw sprzętu detekcyjnego, który absolutnie niczego nie jest w stanie wykryć. Zauważyłem tu i ówdzie kilka lornetek. Wydaje mi się, że jesteśmy pierwszymi, którzy przez nie patrzyli.

– A teraz, to biuro. Przypuszczam, że papierowa robota jest spięciokrotniona, aż do najdrobniejszych szczegółów i wszystko musi być parafowane przez każdego kto jest w zasięgu wzroku lub słuchu?

– Jeszcze tego nie sprawdzałem, sir. Ale jeśli myśli pan o jakimś zakładzie na ten temat, to proszę nie oczekiwać ode mnie, że go przyjmę.

– No cóż, dziękuję panu, poruczniku Carmath. Niech pan będzie w pobliżu. Wysyłam na dół ekipę techniczno-wywiadowczą, żeby rozejrzeli się po wszystkim co tam zostało. Kiedy będzie pan na nich czekał, mógłby pan odsiać ludzi, którzy zdają się w tym miejscu za cokolwiek odpowiadać, i dowiedzieć się od nich, po co na Nifflheim, ta baza rakietowa w ogóle była utrzymywana.

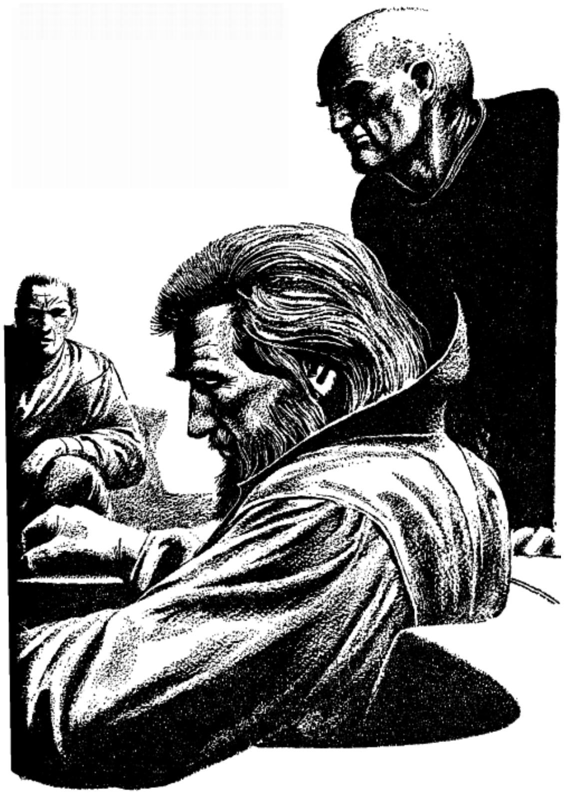


ILLUSTRATED BY SCHOENHERR

– Wydaje mi się, że to akurat mogę panu wyjaśnić od ręki, panie komodorze – powiedział książę Trevannion, kiedy Shatrak wyłączył ekran. – Mamy tutaj całkowicie spetryfikowany system autorytarny. Dosyć prawdopodobne, że jakiegoś rodzaju oligarchię. Domyślam się, że ta Konwokacja, o której tak na okrągło mówili, składa się ze wszystkich należących do klasy rządzącej. Każdy ma równy głos i nikt nie chce wziąć odpowiedzialności, za zrobienie czegokolwiek. A faktyczna robota rządowa, prawdopodobnie wykonywana jest przez korpus biurokratów, okopanych na swoich posadach, niechętnych do podjęcia żadnych wysiłków, obawiających się dopuszczenia jakiejkolwiek krytyki ich działań, i żyjących wyłącznie w celu dotrwania do emerytury, na swoich pensjach. Widziałem już w życiu parę rządów podobnych do tego. – Wymienił kilka z nich. – Jedna sprawa. Kiedy już rząd taki jak ten, zostanie zapędzony kijem do Imperium, później rzadko sprawia jakiekolwiek kłopoty.

– Tak oceniając wyłącznie po tej pozbawionej rakiet i niebędącej w stanie niczego wystrzelić bazie – stwierdził Shatrak, – oni nie byliby w stanie nawet podjąć decyzji, jakiego rodzaju kłopoty mieliby sprawić, albo jak je rozpocząć. Sądzę, że będzie miał pan tutaj sympatyczny, prosty prokonsulat, hrabio Erskyll.

Hrabia Erskyll próbował coś powiedzieć. Bez wątpienia miał właśnie udzielić Shatrakowi ciętej odpowiedzi, że wcale nie szuka łatwego prokonsulatu, tylko możliwości pomocy tym ludziom. Oszczędziło mu tego, brzęczenie ekranu komunikacyjnego komodora.



To był pułkownik Pyairr Ravney, dowódca oddziałów desantowych Marynarki. Tak samo jak wszyscy pozostali, którzy polecieli na dół, do Zeggensburga, miał na sobie mundur polowy i broń u pasa. Transpexowa przyłbica jego hełmu, była uniesiona do góry. Pochodził z generacji pośredniej między Shatrakiem i hrabią Erskyllem, tak więc wyhodował sobie szpiczaste wąsiki i trójkątną bródkę na podbródku. Zarost ten, na jego szczupłej, ciemnookiej twarzy, wyglądał wyraźnie mefistofelesowsko. Uśmiechał się szeroko.

– No cóż, sir, myślę, że możemy powiadomić, o zakończeniu roboty – stwierdził. – Jest u mnie delegacja, która w imieniu Lordów-Panów z Konwokacji, chce rozmawiać z Lordami-Panami ze statków. Jest ich dwóch, do tego mniej więcej kilkunastu nosicieli teczek i spisywaczy notatek. Nie jestem specjalnie dobry w Lingua Terra, poza Zakresem Podstawowym, oględnie mówiąc, a ich umiejętności są nawet dalekie od moich. O ile dobrze wszystko zrozumiałem, to są oni w jakiegoś rodzaju służbie obywatelskiej, i są osobistymi przedstawicielami najwyższych Lordów-Panów.

– Czy chcemy z nimi rozmawiać? – spytał Shatrak.

– No cóż, raczej powinniśmy rozmawiać tylko z rzeczywistymi, tytularnymi przywódcami rządowymi, z Właścicielstwem – sprzeciwił się

Erskyll, wykazując nagle czułość na punkcie protokołu. – Nie możemy negocjować z podwładnymi.

– Och, a kto mówi od razu o negocjowaniu – roześmiał się Jurgen. – Nie ma nic co moglibyśmy negocjować. Aditya jest teraz częścią Imperium Galaktycznego. Jeżeli obecny reżim, zgodzi się na to, to może pozostać u władzy. Jeżeli będą się sprzeciwiać, to obalimy ich i zainstalujemy nowy rząd. Przyjmiemy ich delegację, poinformujemy ich o zaistniałej sytuacji i odeślemy ich, aby przekazali te informacje tym swoim Lordom-Panom. – Zwrócił się do komodora. – Czy mogę porozmawiać z pułkownikiem Ravneyem?

Shatrak wyraził zgodę. Jurgen spytał Ravneya, gdzie obecnie są ci Lordowie-Panowie.

– U mnie, w Cytadeli. Zwołali tutaj wcześniej posiedzenie Konwokacji. Jest ich tu ich niemal tysiąc, jeden przez drugiego wywrzaskujących na siebie nawzajem oskarżenia. Brzmi to mniej więcej jak podczas pory karmienia w Imperialnym Zoo. Wydaje mi się, że wszyscy chcą się poddać, ale nikt nie ma śmiałości zaproponować tego jako pierwszy. Po prostu otoczyłem ich kordonem żołnierzy i uniemożliwiłem im kontakt ze światem zewnętrznym. A wszystkim na zewnątrz, oczywiście, uniemożliwiłem dostęp do Konwokacji.

– Dobry pomysł, panie pułkowniku. Przypuszczam, że w Cytadeli roi się wręcz od biurokratów i innych tego rodzaju niższych form życia?

– Wręcz wylewają się drzwiami i oknami. Dosłownie tysiące. Lanze Degbrend, komandor Douvrin i paru innych ludzi, próbują wydobyć z nich jakieś sensowne odpowiedzi.

– Ta delegacja, jak ma pan zamiar wysłać ich do nas, na górę?

– Lądownikiem na *Isobel*. *Isobel* podrzuci ich przez resztę drogi.

Jurgen popatrzył na zegarek.

– No dobrze, nie ma specjalnego pośpiechu w tym przesyłaniu ich tutaj, panie pułkowniku. Nie chcemy ich u nas wcześniej, niż po lunchu. Opóźnijcie ich trochę na Isobel. Skipper może dopilnować, żeby dostali na pokładzie jakiś lunch dla siebie. Niech też zabawi ich trochę jakimiś filmami edukacyjnymi. Czymś, co przekona ich, że Imperium dysponuje nieco większymi siłami, niż jeden okręt liniowy, dwa krążowniki i cztery niszczyciele.

Hrabia Erskyll sprawiał wrażenie niezadowolonego również i z tego. Chciałby zobaczyć się z delegacją jak najszybciej, i poczynić niezbędne ustalenia do rozmowy z ich zwierzchnikami. Hrabia Erskyll, oprócz innych cech charakteru, był w gorącej wodzie kapany, a to nie podobało się Jurgenowi. Zbytnio popędliwi mężowie stanu, narobili więcej szkody w Galaktyce, niż cokolwiek innego –– być może z wyjątkiem za bardzo kunktatorskich żołnierzy. To powinno wskazywać na fundamentalną różnicę, między dyplomacją i wojną. Będzie musiał trochę popracować nad tym pomysłem.

Okręt liniowy Imperium, miał niemal milę średnicy. Był czymś znacznie więcej, niż tylko maszyną bojową, spełniał również ważne funkcje polityczne. Wielki salon, w strefie zewnętrznej, gdzie krzywizna podłogi była mniejsza i tak bardzo nie dawała się we znaki, był tak wspaniały, jak tylko bardzo niewiele komat w Pałacu Imperialnym w Asgardzie, na Odynie. Podłoga była bogato wyłożona dywanami, a ściany zawieszone naprzemiennie, lustrami i obrazami. Umeblowanie przenośne, zmieniane było, stosownie do okazji. W chwili obecnej, składało się ono z pustego biurka, za którym siedziała ich trójka, trzech zajmowanych przez nich krzeseł i trzech robotów-sekretarzy. Prostokątne, czarne korpusy maszyn, płonęły Słońcem i Kołem Zębatym Imperium. Czekały na wprost drzwi, znajdujących się w przeciwległej części sali. Po obu jej stronach, stały dwa rzędy marynarzy, w galowym umundurowaniu, z bronią.

W zasadzie włączenie planety do Imperium, było samo w sobie, dosyć proste. Ale tak jak wiele innych rzeczy, prostych co do zasady, często okazywało się ono trudne w praktyce, a do tego, jak podejrzewał, obecny przypadek nie będzie żadnym wyjątkiem.

W teorii, wystarczyło po prostu poinformować rząd planetarny, że od tej chwili podlegał zwierzchności Jego Cesarskiej Mości, Imperatora Galaktyki. Ta informacja była zawsze przekazywana przez Podsekretarza Stanu, podległego bezpośrednio Pierwszemu Ministrowi, i oddalonego tylko o jeden stopień w dół od Imperatora, czyli w obecnej sytuacji, Jurgena, Księcia Trevannion. Aby zapewnić natychmiastową wykonalność powyższego obwieszczenia, tym arogancko swobodnym słowom, towarzyszyły okręty Imperialnej Marynarki Kosmicznej, tak jak teraz, dowodzony przez komodora Vanna Shatraka, zespół siedmiu okrętów bojowych, oraz dwóch tysięcy żołnierzy Imperialnych Sił Desantowych.

Kiedy miejscowi zostali już odpowiednio przekonani, przy tak małym rozlewie krwi, jak się dało, ale zawsze bez żadnych dalszych dyskusji czy wątpliwości, instalowany był Imperialny Prokonsul, w tym przypadku Obray, hrabia Erskyll. Jego zadanie bynajmniej nie polegało na rządzeniu planetą. Imperialna konstytucja, w tym punkcie była absolutnie ścisła i precyzyjna. Każdy rząd planetarny powinien być suwerenny, jeśli chodzi o sprawy wewnętrzne. Prokonsul, w obrębie pewnych wąskich i całkowicie nieelastycznych granic, miał po prostu rządzić rządem.

Niestety, przyszły Prokonsul, Obray hrabia Erskyll zdawał się tego zupełnie nie rozumieć. Zgodnie z własnym wyobrażeniem, miał być bohaterem i herosem, niosącym pochodnię wspaniałej cywilizacji Imperialnej, czy też kimś równie malowniczym i metaforycznym. Tak jak to rozumiał, obowiązkiem reprezentowanego przez niego Imperium, było przerabianie zacofanych planet, takich jak Aditya, na podobieństwo Odina, Marduka, Osirisa czy Baldura, a już najlepiej jego własnej ojczystej planety, Atona.

Tak więc pierwszy przydział prokonsularny Obraya of Erskyll, który notabene spowodowany był wpływami rodzinnymi, był również całkowitą pomyłką. Pomyłki, oczywiście, były niemożliwe do uniknięcia, w tak ogromnym i skomplikowanym organizmie, jakim było Imperium

Galaktyczne, a każda instytucja kierowana przez ludzi, stawała się podmiotem tego, czy innego rodzaju wpływów. Wpływy rodzinne były wcale nie gorsze niż inne. W tym przypadku ultrakonserwatywni Erskyllowie z Atona, począwszy od Errola, diuka Yorvoy, aż po ostatnich członków rodziny, poczuli się zaalarmowani politycznym radykalizmem młodego Obraya i, po zakończeniu przez niego studiów na Uniwersytecie Nefertiti, przekonali Premiera do wyznaczenia go na Prokonsulat, tak daleko od Atona, jak to tylko było możliwe, w miejscu, gdzie jego działania nie przynosiłyby im wstydu. Akurat w tym właśnie momencie, bardziej istotne sprawy zostały uporządkowane, natomiast pojawiła się kwestia aneksji Adityi, tak więc Obray od Erskyll, został mianowany Prokonsulem.

To był błąd. Powinien zostać najpierw wysłany na jedną z planet, które już od jakiegoś czasu, pozostawały pod władzą Imperium, gdzie Prokonsulat przebiegał w dobrze utartych koleinach i na której mógłby spokojnie nauczyć się odpowiednich procedur, oraz mógłby pozbyć się części braku realizmu, nabytego od uniwersyteckich profesorów, bardzo dobrze izolowanych od realiów faktycznej polityki.

Rozpoczęło się poruszenie między strażnikami. Zamykali z trzaskiem przyłbice hełmów, zbierali razem stopy. W chwili gdy wielkie wrota, na przeciwległym krańcu uroczystego salonu, zaczęły się otwierać, obydwa szeregi zesztywniały na baczność. Kiedy wprowadzono do środka delegację Adityan, strażnicy stanęli w postawie prezentuj broń.

Było ich czternastu. Wszyscy nosili na sobie długie do kostek suknie i mieli ogolone głowy. Człowiek idący na przedzie, miał laskę, a jego suknia była bladozielona. Bez wątpienia, musiał to być herold. Za nim szło dwóch ludzi w białych sukniach, z pustymi rękoma, złożonymi na piersiach. Jeden z nich był jedną olbrzymią, otyłą masą tłuszczu, z wielkimi łukami brwiowymi, wyłupiastymi oczyma i zaciśniętymi małymi ustami. Drugi dla odmiany był przeraźliwie chudy i trupioblady, z podobną do nagiej czaszki, niemal pozbawioną mięśni twarzą. Ludzie idący za nimi, ubrani byli w ciemną zieleń i blady błękit, nieśli ze sobą teczki, obwieszeni byli pudełkami rejestratorów dźwięku. Na szyi każdego z ich widać było metaliczny połysk. Kiedy podeszli bliżej, Jurgen zobaczył, że wszyscy nosili na gardle duże srebrne, metalowe kołnierze. Szli naprzód, aż stanęli w odległości dwudziestu stóp od biurka. Herold uniósł swoją laskę.

– Chciałbym przedstawić Wspaniałego i Wiernego Tchall Hozheta, osobistego głównego niewolnika, Lorda-Pana Olvira Nikkolona, Przewodniczącego Prezydium Konwokacji Lordów-Panów, oraz Khreggora Chmidda, głównego niewolnika w biurze Lorda-Pana Rovarda Javasana, Szefa Administracji i Zarządów Właścicielstwa Adityi – oświadczył dostojnie. Potem przerwał, zaintrygowany, patrząc po nich, od jednego do drugiego. Kiedy jego oczy spoczęły na Vannie Shatraku, wyraźnie się rozjaśnił.

– Czy jest pan może – spytał go, – głównym niewolnikiem Lordów-Panów tego statku?

Twarz Shatraka zmieniła kolor na różowy, a następnie róż ściemniał, przechodząc w czerwień. Użył słowa, które zupełnie nie nadaje się do druku. Podobnie zresztą, jak i jakieś pięćdziesiąt kolejnych wypowiedzianych przez niego słów, poza może z rzadka porozrzucanymi zaimkami, spójnikami i przyimkami. Herold zesztywniał. Dwaj znajdujący za jego plecami członkowie delegacji, stali jak słupy soli. Stojący z tyłu podwładni, dźwigający cały ładunek, zaczęli rozglądać się wokół siebie, z niepokojem.

– Jestem – w końcu zdołał wykrztusić z siebie Shatrak, – oficerem Marynarki Kosmicznej Jego Cesarskiej Mości. Dowodzę tym zespołem liniowym. I *nie* jestem *żadnym* – w tym miejscu powrócił na kilka chwil do wulgarnego języka – niewolnikiem.

– Czy to znaczy, że jest pan również Lordem-Panem? – To, jak się zdawało, przeraziło herolda jeszcze bardziej niż rzeczy, które powiedział mu Shatrak. – Proszę mi wybaczyć, Lordzie-Panie. Nie myślałem…

– To akurat się zgadza, nie pomyślałeś. – I nie nazywaj mnie więcej Lordem-Panem, albo…

– Chwileczkę, panie komodorze. – Jurgen skinięciem ręką odsunął herolda na bok i zwrócił się bezpośrednio do dwójki w białych sukniach, przechodząc na Lingua Terra. – To jest okręt Imperium Galaktycznego – powiedział do nich. – W Imperium nie ma niewolników. Czy jesteście panowie w stanie to zrozumieć?

Najwyraźniej, nie. Ten wielki, Khreggor Chmidd zwrócił się do chudego jak czaszka Tchalla Hozheta, mówiąc do niego:

– A więc, oni muszą chyba być Lordami-Panami. – Natychmiast jednak dostrzegł sprzeczność w całej sytuacji. – Ale jak ktoś może być Lordem-Panem, jeżeli w ogóle nie ma niewolników?

Należy powiedzieć, że zgroza panowała nie tylko tej po stronie biurka, po której stali goście. Obray of Erskyll wpatrywał się w delegację i w kółko powtarzał pod nosem:

– Niewolnicy!

Obray of Erskyll, w swoim niezbyt długim życiu, nigdy wcześniej nie widział na własne oczy niewolnika.

– A więc nie mogą nimi być – odparł Tchall Hozhet. – Lord-Pan to osoba, która posiada niewolników. – Pozwolił sobie na chwilę zastanowienia. – Ale jeżeli oni nie są Panami-Lordami, to muszą być niewolnikami, i… – Nie, to również mu się nie zgadzało. – Ale niewolnik to ktoś, kto należy do Lorda-Pana.

Reguła Wyłączonego Środka. Najwyraźniej przedatomowa logika formalna, wkradła się z powrotem na Adityę. Chmidd, rozglądając się dookoła, dostrzegł szeregi marynarzy, teraz stojących w paradnej postawie swobodnej.

– A oni, nie są niewolnikami? – spytał.

– To są marynarze Marynarki Imperialnej – zaryczał Shatrak. – Nazwij tylko, któregoś z nich w twarz niewolnikiem, a dostaniesz kolbą karabinu w swoją. A ja nie kiwnę nawet palcem, żeby go powstrzymać. – Spoglądał

płonącym wzrokiem na Chmidda i Hozheta. – Kto miał taką piekielną czelność, żeby wysłać niewolników, do rozmów z Imperium? Potrzebuje naprawdę porządnej lekcji!

– Ale o co chodzi? Zostałem wysłany przez Lorda-Pana Olvira Nikkolona i…

– Tchall! – syknął na niego Chmidd. – Nie wolno nam rozmawiać z Lordami-Panami. Musimy rozmawiać z ich głównymi niewolnikami.

– Ale oni przecież nie mają żadnych niewolników – sprzeciwił się Hozhet. – Nie słyszałeś co przed chwilą powiedział… ten z małą brodą?

– Ale to jest po prostu śmieszne, Khreggor. Kto wykonuje wszystkie prace i kto mówi im co mają robić? Kto kazał tym ludziom, żeby tutaj przylecieli?

– **T**o nasz Imperator nas tu przysłał. Tutaj, za mną, jest jego obraz. Ale my nie jesteśmy jego niewolnikami. On jest tylko najważniejszym człowiekiem pomiędzy nami. Czy wasi Panowie nie mają jednej osoby, która byłaby pomiędzy nimi najważniejsza?

– To prawda – powiedział Chmidd do Hozheta. – W Konwokacji szefem jest twój Lord-Pan, a w Zarządzie Właścicielstwa najważniejszy jest mój Lord-Pan, Rovard Javasan.

– Ale oni nie mówią innym Lordom-Panom, co mają robić. W Konwokacji, to inni Lordowie-Panowie mówią im…

– Właśnie o to mi chodziło, kiedy mówiłem o oligarchii – szepnął Jurgen do Erskylla, w Imperialnym.

– A może każemy Ravneyowi spędzić tych Lordów-Panów do paru lądowników i ściągniemy ich tutaj, na górę? – zasugerował Shatrak. Wygłosił tę propozycję w Podstawowym Lingua Terra, i to głośno.

– Wydaje mi się, że damy sobie radę bez takich rozwiązań. – Jurgen także podniósł głos, mówiąc w Podstawowym Lingua Terra. – Nie ma przecież znaczenia, czy ci niewolnicy będą z nami rozmawiać, czy nie. Ta planeta znalazła się teraz pod rządami Jego Cesarskiej Mości, Rodrika III. Jeżeli to Właścicielstwo Adityi chce zarządzać planetą, pod rozkazami Imperatora, może sobie to robić. Jeżeli nie, to zakończymy ich rządy i ustanowimy tutaj jakieś nowe władze.

Przerwał w tym momencie. Chmidd i Hozhet spoglądali na siebie nawzajem, w zszokowanym niedowierzaniu.

– Tchall, im naprawdę o to chodzi – stwierdził Chmidd. – No i, niewątpliwie są w stanie to zrobić.

– Nie mamy wam już nic więcej do powiedzenia, niewolnicy – mówił dalej Jurgen. – Później porozmawiamy bezpośrednio z Lordami-Panami.

– Ale… Panowie-Mistrzowie nigdy nie prowadzą swoich spraw bezpośrednio – powiedział Hozhet. – To byłoby nie po pańsku. Takie dyskusje prowadzone są zawsze pomiędzy głównymi niewolnikami.

– To zgromadzenie, które nazywają Konwokacją – nadmienił Shatrak. – Zastanawiam się, czy jego członkowie również załatwiają swoje sprawy wyłącznie poprzez swoich niewolników.

– Och, nie! – Sam pomysł wstrząsnął Chmiddem do żywego. – Żadnemu z niewolników nie wolno przekroczyć progu Sali Konwokacji.

Jurgen pomyślał sobie, że w takim razie, ciekawe kto tam w środku sprząta. Bez wątpienia, roboty, cha, cha. Albo co się działo, kiedy Panowie, którzy nie mogli być obecni, chcieli przedstawić swoją sprawę.

– Bardzo dobrze. Wasi ludzie mają urządzenia rejestrujące. Czy one są włączone? – spytał Jurgen.

Hozhet spytał Chmidda. Chmidd spytał herolda. Ten z kolei zapytał jednego ze swoich służących, z tyłu, który przekazał pytanie jeszcze komuś innemu. Odpowiedź nadeszła tym samym kanałem komunikacyjnym. Były włączone.

– Bardzo dobrze. W takim razie jutro o tej samej godzinie, porozmawiamy z Konwokacją Lordów-Panów. Komodor Shatrak dopilnuje, aby pułkownik Ravney zebrał ich wszystkich w Sali Konwokacji, i aby w sali tej poczynione zostały odpowiednie przygotowania, tak byśmy mogli zwrócić się do nich, z całą godnością, stosowną dla przedstawicieli Jego Cesarskiej Mości. – Zwrócił się do adityańskich niewolników. – To wszystko. Macie pozwolenie na odejście.

Przyglądali się wychodzącej tyłem delegacji i podążającej za nią straży honorowej. Kiedy drzwi za nimi już się zamknęły, Shatrak przesunął dłonią po swojej łysej głowie i roześmiał się.

– Oni wszyscy mieli ogolone głowy. Bardzo prawdopodobne, że to właśnie dlatego pomyśleli sobie, że ja również jestem waszym niewolnikiem. Założyłbym się też, że te metalowe kołnierze są także oznakami służących. – Dotknął koniuszkami palców Gwiazdy Rycerskiej, Orderu Imperium, którą miał założoną na szyi. – Pewnie pomyśleli sobie, że to również jest coś podobnego. Wszyscy powinniśmy wyciągnąć coś takiego!

– Oni po prostu nie potrafią sobie nawet wyobrazić, że ktoś może nie być ani niewolnikiem, ani posiadaczem niewolników – stwierdził Erskyll. – To musi oznaczać, że w ogóle nie ma tutaj żadnej klasy wolnych ludzi, nie utrzymujących się z pracy niewolników. Uniwersalne niewolnictwo! No cóż, będziemy musieli coś z tym zrobić. Natychmiast musimy proklamować powszechną abolicję.

– Och, nie! Nie wolno nam zrobić niczego takiego. Nie pozwala nam na to Konstytucja. Rozdział Drugi, Punkt Pierwszy: *Każda planeta Imperium jest samorządna w zakresie swoich spraw wewnętrznych, w sposób jaki sama sobie wybierze i bez żadnej ingerencji z zewnątrz*.

– Ale niewolnictwo… Rozdział Drugi, Punkt Szósty – sprzeciwił się Erskyll, – *Na terenie całego Imperium zakazuje się niewolnictwa i poddaństwa. Żadna istota rozumna, niezależnie od tego z jakiej pochodzi rasy, nie może stać się własnością jakiejkolwiek innej istoty, poza sobą samym*.

– To prawda – zgodził się Jurgen. – Dlatego, jeżeli to Właścicielstwo Adityi, zamierza pozostać rządem planetarnym, pod władzą Imperium, będzie zobowiązane do zniesienia niewolnictwa. Ale będą musieli zrobić to sami, na skutek swoich własnych działań. My nie możemy tego zrobić za nich.

– Wie pan, co ja bym zrobił, książę Trevannion? – zaproponował Shatrak. – Zrobiłbym przewrót w tym ich Właścicielstwie i ustanowił sympatyczną, ścisłą, dyktaturę wojskową. Teraz na planecie obowiązuje stan wyjątkowy. Po prostu przeciągnijmy sprawy w taki sposób przez jakieś pięć lat, dopóki nie wyszkolimy nowego rządu.

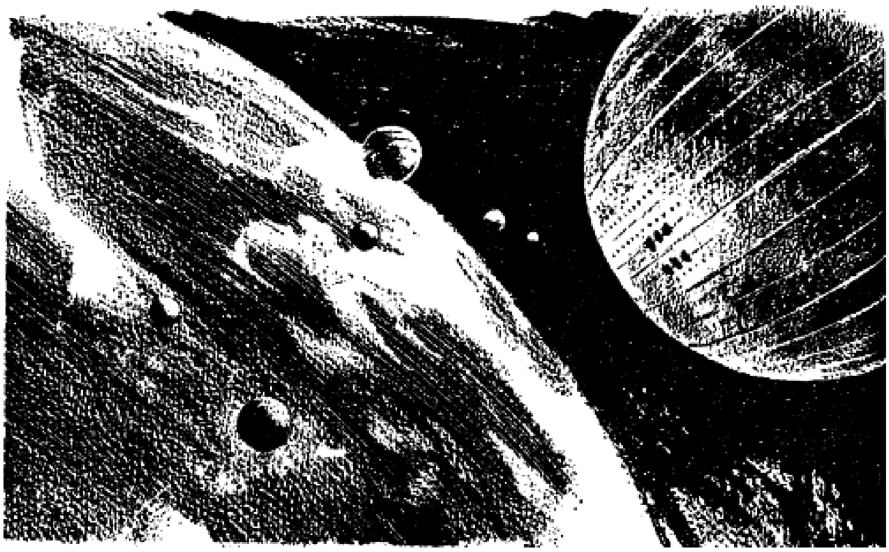
Ta sugestia zdawała się boleć hrabiego Erskylla niemal równie mocno, jak obecna sytuacja.

Jedli późny obiad w prywatnej jadalni komodora Shatraka. Obok Shatraka, Erskylla i samego Jurgena, w pomieszczeniu towarzyszyli im Lanze Degbrend, charge daffaires hrabiego Erskylla Sharll Ernanday, Patrique Morvill, Pyairr Ravney, oraz oficer wywiadu Marynarki, komandor Andrey Douvrin. Zazwyczaj Jurgen nie przepadał za dyskusjami na poważne tematy przy posiłkach, ale w obecnych okolicznościach, było to niemożliwe do uniknięcia. Nikt nie był w stanie myśleć, ani rozmawiać o czymkolwiek innym. Dyskusja, która, jak miał nadzieję, nastąpi dopiero po jedzeniu, rozpoczęła się już przed podaniem zupy.

– Mamy tutaj do czynienia z populacją przekraczającą dwadzieścia milionów – relacjonował Lanze Degbrend. – Nieco ponad dziesięć tysięcy Panów, w najróżniejszym wieku i obojga płci. Pozostali, wszyscy są niewolnikami.

– Uważam to za niewiarygodne – natychmiast oświadczył Erskyll. – Dwadzieścia milionów ludzi, utrzymywanych w stanie niewolnictwa przez dziesięć tysięcy! Dlaczego oni się na to godzą? Dlaczego nie zbuntują się?

– No cóż, od razu przychodzą mi do głowy co najmniej trzy dobre powody – powiedział Douvrin. – Trzy solidne posiłki na dzień.



– I żadnej odpowiedzialności. Nie ma potrzeby podejmowania decyzji – dodał Degbrend. – Są niewolnikami już od siedmiu i pół wieków. Nie znają nawet znaczenia słowa wolność, a gdyby nawet, to raczej by ich ono przerażało.

– Odpowiednia hierarchia kontroli – stwierdził Shatrak. Widząc, że jego słowa zdają się nic nie mówić Erskyllowi, wyjaśnił dokładniej – Powiedzmy, że mamy całą masę przyginających karku niewolników. Nad każdym tuzinem, stawia się nadzorcę, z wielkim biczem i paralizatorem. Z kolei, na każdą grupę złożoną z kilku nadzorców, przypada strażnik z karabinem półautomatycznym. Nad nimi jest kontroler, który w ogóle nie musi mieć broni, ponieważ w każdej chwili może chwycić za słuchawkę telefonu i wezwać na pomoc żołnierzy. Nad kontrolerami są kontrolerzy wyższego poziomu. Każdy z nich, ma dokładnie na tyle lepiej, niż mają ci na poziomie poniżej jego, aby bał się utracić swoje stanowisko i zostać zepchniętym z powrotem do roboty w polu.

– Dokładnie o to chodzi, panie komodorze – potwierdził Degbrend. – Całe to społeczeństwo zorganizowane jest w postaci niewolniczej hierarchii. Wszyscy nadskakują gromadzie ludzi stojącej ponad nimi, starając się uzyskać ich względy, i wszyscy pilnują gromady ludzi znajdujących się pod nimi, aby upewnić się, że nie robią ich w konia. My sami mamy coś, wcale nie tak bardzo odmiennego. Każda struktura organizacyjna jest w pewnym sensie podobna do społeczeństwa niewolniczego. I wszystko determinowane jest przez ustanowione rutynowe procedury. Cały mechanizm jaki mamy tutaj, działa po prostu siłą bezwładności, od co najmniej pięciu ostatnich wieków, i gdybyśmy tu nie przylecieli, rozbijając rutynę i doprowadzając do sytuacji, której nie przewiduje żadna z ustalonych procedur, działałby dalej przez kolejnych pięć, dopóki wszystko by się doszczętnie nie zużyło i nie zatrzymało. Przy okazji, doszły mnie słuchy o tych bazach rakietowych. To typowy przykład wszystkiego, tutaj.

– Nie, tutaj musi chodzić o coś zupełnie innego – przerwał mu Erskyll. – Ci Lordowie-Panowie są potomkami Kosmicznych Wikingów, a ich niewolnicy oryginalnych mieszkańców. Kosmiczni Wikingowie byli przecież ludźmi bardzo zaawansowanymi technologicznie. Posiadali całą wiedzę naukową i technologiczną starej Federacji Terrańskiej, a w dodatku poważnie ją rozwinęli u siebie, na Planetach-Mieczach

– No i? Nadal posiadali jej całkiem sporo, na Planetach-Mieczach, dwa wieki temu, kiedy ich podbiliśmy.

– Ale wysoki rozwój technologiczny, musi wykluczać niewolnictwo. To jedno z fundamentalnych praw socjo-ekonomicznych. System niewolniczy jest bezsensowny z ekonomicznego punktu widzenia. Nie jest w stanie konkurować z siłą przemysłową, nie mówiąc już o cybernetyce i robotyce.

Jurgena mocno kusiło, aby przypomnieć młodemu Obrayowi of Erskyll, że nie ma czegoś takiego, jak fundamentalne prawa socjo-ekonomiczne, które są po prostu uogólnionymi stwierdzeniami, zazwyczaj godnymi zaufania, na temat tego, co mniej więcej może się stać, w większości przypadków. Oparł się jednak tej pokusie. Hrabia Erskyll, przeżył już dzisiaj wystarczająco dużo wstrząsów, nie było więc potrzeby dodawać do nich kolejnego darmowego bluźnierstwa.

– W tym przypadku, Obray, to działało w odwrotną stronę – wyjaśnił mu. – Wikingowie Kosmiczni zniewolili Adityan, aby utrzymywać ich w poddaństwie. To była niezbędne z polityczno-wojskowego punktu

widzenia. Potem, kiedy już uwikłali się w ustrój niewolniczy, z populacją niewolników zmuszoną do zarabiania na ich utrzymanie, uznali za bezsensowne ekonomicznie, cybernetykę i robotykę.

– I niemal natychmiast zaczęli wyznaczać niewolników na nadzorców, a inżynierowie zaczęli szkolić niewolników na asystentów – dodał Degbrend. – Potem pojawili się niewolnicy nadzorcy wyższego poziomu, kontrolujący zwykłych nadzorców, niewolnicy administratorzy, kierujący tymi kontrolerami, niewolnicy sekretarze, księgowi, niewolnicy technicy i inżynierowie.

– A co z innymi zawodami, Lanze?

– Wszyscy są niewolnikami. Niewolnikami są lekarze, nauczyciele i wszyscy podobni do nich. Wszyscy Panowie są uczeni przez niewolników, niewolnicy szkoleni są poprzez terminowanie. Sądy są w rękach niewolników. Sprawy prowadzone są przez niewolników przewodniczących sądu, którzy nawet nie wiedzą, gdzie są ich sale sądowe. Każdy Pan ma zespół niewolników prawników. Większość procesów, dotyczy przypadków dziedziczenia nieruchomości. Niektóre z nich toczą się przez cale pokolenia.

– A czym zajmują się Lordowie-Panowie? – spytał go Shatrak.

– Pańskimi sprawami – odparł Degbrend. – Byłem tam na dole tylko przez dzisiejsze popołudnie, ale z tego co udało mi się dowiedzieć, sprawy te składają się głównie z ucztowania, uprawiania miłości z żonami wszystkich innych, bycia zabawianym przez niewolników artystów, i darcia kotów o pierwszeństwo w społeczności, jak bogate stare panie na Odinie.

– Dowiedziałeś się tego od niewolników? Jak ci się udało skłonić ich do mówienia, Lanze?

Degbrend i Ravney wymienili między sobą rozbawione spojrzenia. Ravney wziął odpowiedź na siebie.

– No cóż, przydzieliłem szanownemu Degbrendowi do towarzystwa, sierżanta i sześciu żołnierzy – powiedział pułkownik. – Oni… Jak byś to określił, Lanze?

– Zadawałem niewolnikowi pytanie. Jeżeli odmawiał na nie odpowiedzi, ktoś powalał go kolbą karabinu – odparł Degbrend. – Nigdy nie musiałem robić tego więcej niż raz, w danej grupie, a tak w ogóle, to przytrafiło się to zaledwie ze trzy razy. Później, kiedy już zadawałem pytania, zawsze otrzymywałem na nie natychmiastowe i wyczerpujące odpowiedzi. To zaskakujące, jak szybko wieści rozchodzą się po tej Cytadeli.

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że kazał pan bić tych biednych niewolników? – zaczął dopytywać się Erskyll.

– Och, nie. Bicie wymaga powtórzenia uderzenia. Każdy klient dostawał tylko raz. To zupełnie wystarczało.

– No, dobrze. A co z armią, jeżeli tych ludzi w długich brązowych płaszczach, można za coś takiego uznać? – Shatrak zmienił temat, kierując nowe pytanie do Ravneya.

– Wszyscy są oczywiście niewolnikami, zarówno oficerowie, jak i zwykli żołnierze. Co z nimi zrobimy, sir? Mam już ich około trzech tysięcy, część zamkniętych w koszarach, część siedzi w Cytadeli. Zarekwirowałem dla nich żywność, płacąc za nią kwitami. Było parę pojedynczych kompanii i plutonów, które sprawiły nam trochę kłopotów i próbowały podjąć walkę, ale większość z nich po prostu rzuciła broń i zaczęła drzeć się o litość. Tych pierwszych oddzieliłem, za pańską aprobatą. Oddałem ich pod komendę Imperialnych oficerów i podoficerów, tak aby szybko zostali przeszkoleni w zakresie naszej taktyki, a potem wykorzystamy ich do szkolenia pozostałych.

– Niech pan to zrobi, Pyairr. Mamy tylko dwa tysiące własnych żołnierzy, a to z pewnością nie wystarczy. Jak pan myśli, uda się panu zrobić żołnierzy choćby z części z nich?

– Tak, tak mi się wydaje, sir. Oni w końcu zostali wyszkoleni, zorganizowani i uzbrojeni do utrzymania porządku publicznego, a do tego przecież my również ich potrzebujemy. W całej historii tej armii, wszystko co musieli robić, to wzbudzać strach wśród nieuzbrojonych niewolników. Jestem pewien, że nigdy jeszcze nie walczyli z regularną armią. Stworzyli rozbudowany zbiór regulaminów dotyczących szkolenia i działań operacyjnych, dla tego rodzaju zadań, do których byli przygotowywani. To, czemu musieli stawić czoła dzisiaj, było całkowicie poza tymi regulaminami, i właśnie dlatego zachowali się tak jak się zachowali.

– Czy miał pan jakieś problemy z nakłonieniem do współpracy miejscowych oficerów? – spytał go Shatrak.

– Absolutnie żadnych, sir. Współpracują całkiem ochoczo, chociaż nie zawsze specjalnie inteligentnie. Po prostu powiedzieliśmy im, że od tej chwili stanowią osobistą własność Jego Cesarskiej Mości, Rodrika III. Ta zmiana właściciela, dosyć mocno im pochlebiła. Jeżeli otrzymają odpowiedni rozkaz, to, jak sądzę, bez chwili wahania otworzą ogień do swoich byłych Lordów-Panów.

– Powiedział pan tym niewolnikom, że oni… *należą*… do *Imperatora*?

Hrabia Erskyll osłupiał ze zdziwienia. Przez chwilę wpatrywał się w Ravneya, a następnie złapał swoją szklaneczkę brandy –– w międzyczasie posiłek doszedł już do tego punktu –– i osuszył ją jednym haustem. Pozostali przypatrywali się mu z zatroskaniem, kiedy w efekcie tego czynu zaczął krztusić się i kasłać.

– Komodorze Shatrak – oznajmił z przyganą, kiedy już mu przeszło. – Mam nadzieję, że podejmie pan surowe dyscyplinarne działania. To jest najbardziej oburzający…

– Nie mam zamiaru robić niczego podobnego – odparował Shatrak. – Pułkownika należy pochwalić, zrobił najlepszą rzecz jaka była możliwa, w istniejących okolicznościach. Panie pułkowniku, co ma pan zamiar im powiedzieć, kiedy niewolnictwo zostanie tutaj zlikwidowane?

– Och, powiem im, że zwraca się im wolność jasko specjalną nagrodę za wzorową służbę, z potem zaciągnę ich na pięcioletnią turę.

– To może zadziałać. Ale z drugiej strony, wcale nie musi.

– Sądzę, panie pułkowniku, że zanim pan to zrobi, lepiej będzie ich ponownie rozbroić – zauważył Jurgen. – W przeciwnym przypadku, może to się skończyć nowymi problemami.

Ravney popatrzył na niego ostro.

– Myśli pan, że oni mogą wcale nie chcieć wolności? Też o tym myślałem.

– Nonsens! – oświadczył Erskyll. – Czy ktoś kiedyś słyszał o niewolnikach buntujących się przeciwko wolności?

Wolność była Czymś Dobrym. Była ona Czymś Dobrym dla wszystkich, w każdym miejscu i czasie. Hrabia Erskyll wiedział to z absolutną pewnością, ponieważ wolność była Czymś Dobrym dla niego.

Jurgen nagle przypomniał sobie starego kocura, należącego do żony jednego ze swoich znajomych, w Paryżu na Baldur. Był to najmilszy kot na świecie, który uparł się, aby swoją czułość okazywać przez łapanie myszy i znoszenie ich do wszystkich ludzkich przyjaciół. Dla tego kociego umysłu, było absolutnie niepojęte, że ktokolwiek mógłby nie czuć pełni szczęścia, otrzymując pyszną, świeżo zabitą mysz.

– W ogóle, to fatalnie, że musimy uwolnić chociaż część z nich – stwierdził Vann Shatrak. – Szkoda, że nie możemy tak po prostu wydać każdemu z nich nowego kołnierza niewolniczego, oznaczonego: *Osobista Własność Jego Cesarskiej Mości*, i zostawić tego w ten sposób. Obawiam się jednak, że to jest niestety niemożliwe.

– Panie komodorze, pan raczy żartować – zaczął podniecać się Erskyll.

– Mam nadzieję, że tak – ponuro odparł mu Shatrak.

Lądowisko na dachu Cytadeli robiło się coraz większe i wypełniało już niemal cały przedni ekran widokowy, lecącego ze statku promu. Dopiero wtedy Jurgen zdał sobie sprawę z tego, że małe plamki na nim, byli to ludzie, a te większe, o rozmiarach ziaren zboża, pojazdy. To uświadomiło mu dobitnie, prawdziwe rozmiary tej budowli. Siedzący u jego boku Obray of Erskyll, milczał. Przyglądał się przede wszystkim księżycowatemu miastu przemysłowemu, owijającemu się jak niewolniczy kołnierz, wokół szyi Zeggensburga.

– Jak oni muszą tam się tłoczyć! – stwierdził. – A do tego budynki. Między nimi w ogóle nie ma miejsca. No i ten cały dym! Oni muszą chyba korzystać z paliw kopalnych!

– Przetwarzanie materiałów rozszczepialnych w dużych ilościach, prawdopodobnie jest dla nich zbyt trudne, przy pomocy sprzętu jaki mają.

– Miałeś rację, ostatniego wieczora. Ci ludzie raczej woleli wstrzymać swój postęp, a nawet cofnąć w rozwoju, niż zrezygnować z niewolnictwa.

Wstrzymanie postępu, nie mówiąc już o regresie, było dla niego zbrodnią nie do pomyślenia. Postęp, podobnie jak wolność, był Czymś Dobrym, w każdym miejscu i czasie, oraz bez względu na jego kierunek.

Pułkownik Ravney powitał ich zaraz po tym jak wyszli z promu. Na lądowisku wręcz roiło się od imperialnych żołnierzy.

– Sala Konwokacji znajduje się trzy piętra niżej – poinformował ich Ravney. – Siedzi ich tam około dwóch tysięcy. Zjeżdżali się przez całe rano. Mamy już wszystko przygotowane. – Roześmiał się. – Mówili mi, że niewolnikom nie wolno wejść do środka. Być może, ale to miejsce miało wszystkie ściany zapluskwione, aż po sam sufit.

– Zapluskwione? Ale czym? – spytał Shatrak, a Erskyll chciał się dowiedzieć, co pułkownik miał na myśli. Bez wątpienia myślał, że Ravney mówił o różnego rodzaju robactwie wypełzającym z drewnianych elementów budowlanych.

– Sensory ekranowe, przekaźniki radiowe, mikrofony kablowe. Proszę wymienić nazwę dowolnego urządzenia, a ono tam będzie. Mogę się założyć, że każdy niewolnik w Cytadeli wiedział o wszystkim co tam się wydarzyło, już w tej samej chwili, kiedy się wydarzyło.

Shatrak spytał go, czy zajął się tymi pluskwami. Ravney pokręcił przecząco głową.

– Jeżeli oni chcą w taki sposób sprawować rządy, to mają do tego pełne prawo. Komandor Douvrin dołożył tylko jeszcze kilka naszych pluskiew, nieco lepiej zakamuflowanych niż te ich.

Trzy piętra niżej, było jeszcze więcej żołnierzy, niż na lądowisku. Utworzyli szpaler wzdłuż długiego, pustego korytarza. Po drodze, z na wpół uchylonych drzwi zerkało na nich kilku niewolników, wyglądających na bardzo wystraszonych. Jeszcze więcej żołnierzy czekało w miejscu, gdzie korytarz kończył się koło wielkich, podwójnych drzwi, pokrytych emblematami prostych, szerokich mieczy, rozmieszczonych na przekątnej ośmioramiennej gwiazdy. Emblematyka planet podbitych przez Kosmicznych Wikingów, zawsze obejmowała miecze i gwiazdy. Jeden z oficerów dał sygnał. Drzwi zaczęły z wolna otwierać się na boki, a w środku z głośnika koło ekranu, rozległa się fanfara na trąbkach.

W pierwszej chwili, wszystkim co Jurgen mógł dojrzeć ze środka sali, był olbrzymi ekran projekcyjny, stojący w oddali przed nimi, i pokryte mozaikową podłogą przejście między rzędami, prowadzące w jego stronę. Grany na trąbkach sygnał zakończył się i ruszyli naprzód. Po chwili zobaczyli Lordów-Panów.

Całe ich masy stały między ławkami po obu stronach przejścia, i jeżeli Pyairr Ravney pomylił się w ocenie ich liczby, to raczej ją niedoszacował. Wszyscy byli ubrani w czerń, zdobioną złotem. Zastanawiał się, czy nie dałoby się jakoś wykorzystać przypadkowej zbieżności tych kolorów z barwami Imperium. Ubrania były dziwne, u góry ciasno dopasowane tuniki, przechodzące poniżej talii w powłóczyste szaty, głęboko powycinane na brzegach. Rękawy były przesadnie szerokie, w każdym z nich można było bez trudu ukryć nóż albo pistolet, i to wcale niekoniecznie najmniejszych rozmiarów. Pewien był, że ta myśl również przeleciała przez głowę Vanna Shatraka. Oczekujący Lordowie-Panowie byli uzbrojeni, i to nie w jakieś niewielkie sztylety, ale w miecze. Długie, proste, zakończone poprzecznym jelcem miecze o szerokich klingach. Były to pierwsze prawdziwe miecze, jakie widział kiedykolwiek na oczy, poza muzeum albo sceną teatralną.

Na przedzie znajdowała się zbudowana ze złota i onyksu ława, w której normalnie siedziało siedmioosobowe prezydium, a przed nią, stały podobne do tronów fotele Głównych Zarządców, ekwiwalentu Imperialnej Rady Ministrów. Z powodu konieczności zainstalowania ekranu projekcyjnego, cała ich grupa została przeniesiona na zaimprowizowane podium, znajdujące się po lewej stronie. Po prawej stronie stało kolejne podium, pokryte czarno-złotym atłasem, ze złotym słońcem i nałożonym na nie Kołem Zębatym Imperium. Na podium znajdowały się trzy trony, dla niego, Shatraka i Erskylla, i szereg mniejszych, ale ciągle robiących wrażenie, krzeseł, dla członków ich sztabu.

Zajęli swoje miejsca. Jurgen wsunął końcówkę memofonu w lewe ucho i nacisnął przycisk pośrodku Wielkiej Gwiazdy Orderu Odina. Memofon zaczął przekazywać mu nazwiska członków prezydium i Głównych Zarządców. Przez głowę przemknęła mu myśl, o tym ilu co ważniejszych niewolników, musiało dostać kolbą po głowie, dla zdobycia tych informacji.

– Lordowie i Panowie – oznajmił Jurgen, kiedy przywitał wszystkich zebranych i przedstawił im siebie oraz pozostałych. – Przemawiam do was w imieniu Jego Cesarskiej Mości, Rodrika III. Jego Wysokość pozdrowi was teraz osobiście, swoimi własnymi słowami, z nagrania.

Nacisnął przycisk w poręczy swojego fotela. Ekran rozjaśnił się, zamigotał, ustabilizował i ponownie ryknęły trąbki. Kiedy zakończyła się fanfara, zagrzmiał potężny głos:

– *Mówi Imperator*!

W sprawie zarostu, Rodrik III poszedł na kompromis w postaci niewielkiego wąsika. Na jego twarzy widniała poważna, ale uprzejma mina, której nauczyli go najlepsi reżyserzy teatralni w Asgardzie. Publiczny Wyraz Twarzy, Numer Trzy. Skłonił głowę lekko i sztywno, co było konieczne z powodu spoczywającej na jego głowie siedmiofuntowej korony.

– Witamy we wspólnocie Imperium, naszych nowych poddanych na Adityi. Od dłuższego czasu dobiegały do nas dobre wieści na wasz temat, i jesteśmy szczęśliwi, mogąc teraz do was przemówić. Służcie nam dobrze i rozkwitajcie pod opieką Słońca i Koła Zębatego.

Kolejna fanfara, rozlegająca się po zniknięciu obrazu. Zanim któryś z Lordów-Panów zdołał zebrać język w gębie, przemówił do nich Jurgen:

– No cóż, Lordowie i Panowie, zostaliście powitani w Imperium, przez Jego Wysokość. Wiem, że przez ostatnich pięć stuleci, nie było żadnego statku, który by przyleciał do tego układu gwiezdnego, albo z niego wyleciał. Przypuszczam więc, że macie wiele pytań na temat Imperium Galaktycznego, które chcielibyście nam teraz zadać. Członkowie prezydium i Główni Zarządcy, mogą zwracać się bezpośrednio do mnie. Pozostali, proszeni są o zwracanie się do przewodniczącego.

Olvir Nikkolon, właściciel Tchalla Hozheta, natychmiast zerwał się na nogi. Jego twarz cechowały obwisłe usta i nie całkiem prosty nos, zaś blade oczy, ani przez chwilę nie były w stanie do końca znieruchomieć.

– Chciałbym się tylko dowiedzieć, dlaczego taka gromada ludzi przyleciała tutaj, aby zająć planetę położoną tak daleko od waszych granic? Czy reszta Galaktyki nie jest dla was wystarczająco duża?

– Nie, Lordzie Nikkolon. Galaktyka nie jest wystarczająco duża, dla jakiejkolwiek konkurencji w dziedzinie władzy. Muszą w niej istnieć jedne i tylko jedne, całkowicie suwerenne rządy. Kiedyś, takim rządem była Federacja Terrańska. Poniosła ona porażkę i upadła. Sami wiecie, co się wtedy stało. Ciemność i anarchia. Wydarliśmy sobie pazurami drogę wyjścia z tej ciemności. My nie poniesiemy porażki. Stworzymy pokojową i zjednoczoną Galaktykę.

Mówił im o załamaniu się władzy starej Federacji, o wojnach międzygwiezdnych, o Neobarbarzyńcach, o długiej nocy. Mówił im jak powstało Imperium, na kilku planetach, odległych o pięć tysięcy lat świetlnych stąd, oraz o tym jak się rozwijało i rozszerzało.

– Nie powtórzymy błędów Federacji Terrańskiej. My nie próbujemy zmusić każdej planety i każdego rządu, do wtłoczenia się w jednolity wspólny wzorzec, ani dyktować im sposobu w jaki mają się rządzić. Sprzyjamy na wszelkie możliwe sposoby rozwojowi pokojowego handlu i komunikacji. Ale nie pozwolimy ponownie na rozprzestrzenienie się plagi rywalizacji o władzę, na powstanie warunków, w których wojna jest po prostu nieunikniona. Każda próba ustanowienia takiej suwerennej władzy, konkurencyjnej w stosunku do Imperium, zostanie bezlitośnie zdławiona, a żadnej planecie, zamieszkałej przez jakąkolwiek rasę rozumną, nie możemy pozwolić na pozostanie poza Imperium.

Przerwał na chwilę, a potem oznajmił:

– Lordowie i Panowie, pozwólcie mi, abym pokazał wam nieco z tego, co już osiągnęliśmy, na przestrzeni ostatnich trzystu lat.

Nacisnął kolejny przycisk. Ekran zamigotał i rozpoczął się pokaz. Trwał on przez niemal dwie godziny. Jurgen, korzystając z mikrofonu ręcznego, wtrącał komentarze i wyjaśnienia. Pokazywał im planetę, po planecie –– Marduka, na którym powstało Imperium, Baldura, Vishnu, Belphegora, Morglay, skąd pochodzili ich przodkowie, Amaterasu, Irminsul, Fafnira, a w końcu Odina, Planetę Imperialną. Prezentował strzelające w górę miasta, rojące się od samochodów powietrznych, porty kosmiczne, w których lądowały i startowały olbrzymie kule statków międzygwiezdnych, farmy i zakłady przemysłowe, potężne pochody w czasie świąt publicznych, ale również parady wojskowe, bazy Marynarki Wojennej i manewry floty, historyczne obrazki z bitew, które stworzyły potęgę Imperium.

– Lordowie i Panowie, oto jest twór, do którego macie okazję przyłączyć swoją planetę. Jeżeli to zaakceptujecie, będziecie mogli nadal rządzić Adityą, pod władzą Imperium. Jeżeli odmówicie, sprawicie nam jedynie tę drobną niedogodność, zastąpienia was nowym rządem planetarnym. Niedogodność, która będzie irytująca dla nas, a prawdopodobnie fatalna dla was.

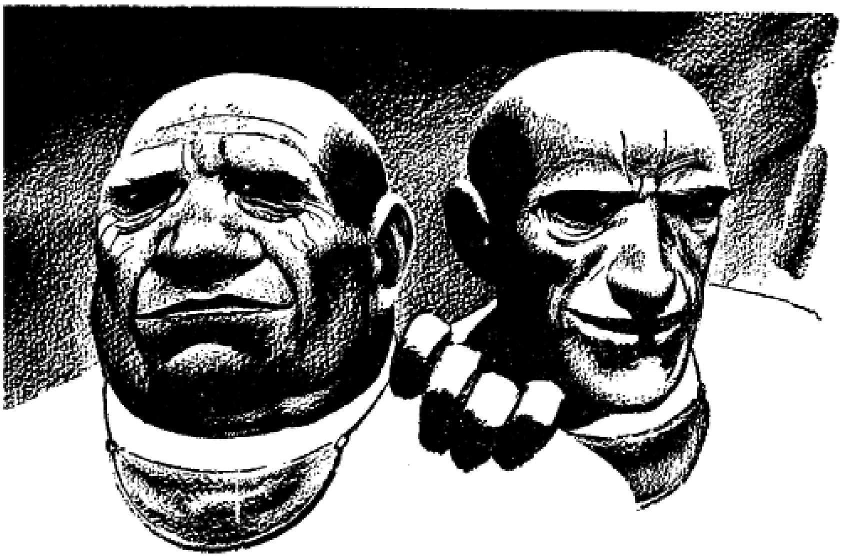
Przez parę minut, panowała zupełna cisza. Nikt nie wypowiedział nawet jednego słowa. Potem podniósł się z siedzenia Rovard Javasan, Główny Administrator i właściciel wielkiego jak góra Khreggora Chmidda.

– Lordowie i Panowie, nie jesteśmy w stanie oprzeć się takiej potędze – powiedział. – Nie możemy oprzeć się nawet siłom, które przysłali tutaj. Próbowaliśmy tego wczoraj i wszyscy widzieliście, co się stało. Tak więc, książę Trevannion, proszę nam wyjaśnić, w jakim zakresie Właścicielstwo zachowa swoją suwerenność, pod rządami Imperium?

– Praktycznie w takim samym zakresie, jak jest to obecnie. Musicie, oczywiście uznać Imperatora, za waszego najwyższego władcę i rządzić planetą w zgodzie z Imperialną Konstytucją. Czy macie jakieś kolonie, na którejkolwiek z planet tego układu?

– Mieliśmy stocznię i doki na wewnętrznym księżycu oraz kopalnie na czwartej planecie tego układu. Jednak ponieważ jest ona niemal zupełnie pozbawiona atmosfery, kolonia na niej ograniczała się do dwóch miast pokrytych kopułami. Oba zostały opuszczone już całe lata temu.

– Ośmielę się twierdzić, że oba zostaną wkrótce ponownie otwarte. Lepiej wyznaczcie granice waszej władzy, na orbitę zewnętrznej planety tego układu. Możecie mieć swoje własne statki latające w normalnej przestrzeni, ale Imperium będzie kontrolować wszystkie pojazdy z hipernapędem i całą broń jądrową. Zakładam, że jesteście jedynym rządem na tej planecie? Tak więc wszystkim innym zabrania się rywalizacji z wami.



– Ha, a więc co w takim razie nam się zabiera? – zawołał ktoś z tylnych rzędów.

– Zakładam więc, że zgadzacie się panowie przyjąć zwierzchnictwo Jego Cesarskiej Mości? Dobrze. Aby zachować odpowiednią formę, Lordzie Nikkolon, czy przeprowadzi pan teraz głosowanie? Jego Cesarska Mość byłby niewymownie panom wdzięczny, gdyby miało ono jednomyślny charakter.

Ktoś upierał się, że przed głosowaniem tej sprawy, powinna odbyć się debata, co oznaczało, że musiałby przemówić każdy z nich, całe dwa tysiące ludzi. Jurgen poinformował ich, że nie ma tu nic do debatowania, że stoją wobec określonego faktu dokonanego, który mają zaakceptować. Tak więc Nikkolon wygłosił przemówienie, oznajmiając im, przed jak wielkim momentem w historii Adityan właśnie stoją, i konkludując swoją mowę słowami:

– Przyjmuję więc, że istnieje jednomyślna wola tej Konwokacji, odnośnie akceptacji władzy Imperatora Galaktyki, oraz że my, „Właścicielstwo Adityi”, proklamujemy niniejszym lojalną wierność Jego Cesarskiej Mości, Rodrikowi Trzeciemu. Czy jest jakiś sprzeciw? Nie widzę. A więc zostało przyjęte i zapisane.

Potem musiał wygłosić kolejne przemówienie, aby poinformować przedstawicieli swojego nowego suwerena, o zaistniałych faktach. Książę Trevannion wypowiedział oficjalną, mocno już zwietrzałą, regułę powitania, a Lanze Degbrand wyjął z trzymanej pod pachą czarnej aksamitnej torby małą koronę, i Imperialny Prokonsul, hrabia Erskyll, został nią ukoronowany. Charge daffaires Erskylla, Sharll Ernanday wyjął zwój z Imperialną Konstytucją, a Erskyll zaczął go odczytywać.

Rozdział Pierwszy: Uniwersalny charakter Imperium. Władza absolutna Imperatora. Zasady sukcesji. Imperator jest również Królem Planety Odin.

Rozdział Drugi: Każdy rząd planetarny ma być samorządny w zakresie swoich spraw wewnętrznych… Tylko jeden suwerenny rząd na każdej planecie lub w zasięgu lotu w normalnej przestrzeni… Wszystkie statki hiperprzestrzenne i cała broń nuklearna… Żaden rząd planetarny nie będzie prowadził wojny… wchodził w żadne sojusze… opodatkowywał, regulował ani ograniczał międzygwiezdnego handlu i komunikacji… Każda istota rozumna ma być w równym stopniu chroniona…

I w końcu doszedł do Punktu Szóstego. Odchrząknął i zwiększywszy siłę głosu odczytał:

„Na terenie całego Imperium zakazuje się niewolnictwa i poddaństwa. Żadna istota rozumna, niezależnie od tego z jakiej pochodzi rasy, nie może stać się własnością jakiejkolwiek innej istoty, poza sobą samym.”

W Sali Konwokacji zapadła cisza, jak po upadku bomby z uszkodzonym zapalnikiem. Trwała ona przez całe trzydzieści sekund. Potem Sala wybuchła rykiem. Kątem oka Jurgen zobaczył, że drzwi wejściowe rozchylają się na boki i do środka wpływa jeep powietrzny, najeżony lufami karabinów maszynowych. Następnie wzleciał do góry, pod sam sufit. Początkowy, nieartykułowany ryk, zastąpiony został przez paplaninę głosów, przypominającą tropikalne oberwanie chmury na dachu baraku z prefabrykatów. Usta Olvira Nikkolona przez cały czas otwierały się i zamykały, ale jego krzyki były zupełnie niesłyszalne.

Jurgen nacisnął inny z rzędu przycisków na poręczy swojego fotela. Z głośnika ekranu zagrzmiał głos równie donośny, jak to pokazał faktyczny pomiar siły dźwięku, jak wydawany przez działko przeciwpancerne.

– CISZA!

W zszokowanym milczeniu, które po nim nastąpiło, Jurgen przemówił, jak nauczyciel, który właśnie wrócił i musiał uciszyć panujący w klasie hałas.

– Lordzie Nikkolon, o co chodzi w tym całym nonsensie? Jest pan przecież przewodniczącym prezydium, czy w ten sposób utrzymuje się tutaj porządek? Co to ma znaczyć, czy to jest izba posiedzeń parlamentu, czy knajpa w porcie kosmicznym?

– Pan nas oszukał! – oskarżył go Nikkolon. – Kiedy głosowaliśmy, nic pan nam nie mówił o tym punkcie. A przecież całe nasze społeczeństwo oparte jest na niewolnictwie!

Przyłączyły się do niego inne głosy:

– Dla was, to jest możliwe do przyjęcia, macie przecież roboty…

– Być może tego nie wiecie, ale na tej planecie jest dwadzieścia milionów niewolników…

– Posłuchajcie, nie możecie uwolnić niewolników! To po prostu śmieszne. Niewolnik, to *niewolnik*!

– A kto będzie wykonywać wszystkie prace? I do kogo niby mieliby należeć. Muszą przecież należeć do kogoś!

– Chciałbym się tylko dowiedzieć – dobiegł głos Javasana Rovarda, – *w jaki sposób* macie zamiar ich uwolnić?

Jest pewne określenie, wywodzące się z jednego z zaginionych języków z praatomowej Terry –– pies pogrzebany. Oznacza ono jakieś podstawowe, fundamentalne pytanie. Rovard Javasan, jak podejrzewał Jurgen, właśnie trafił w takiego pogrzebanego psa. Oczywiście Obray, hrabia Erskyll, prokonsul Adityi, nawet tego nie zauważył. Nie wiedział nawet, co Javasan miał na myśli. Według niego, po prostu trzeba ich uwolnić i już. Także komodor Vann Shatrak, nie wiedział w tym wielkiego problemu. Ten pewnie by stwierdził: Po prostu ich uwolnijcie, a potem zastrzelcie jakieś dwa, trzy tysiące tych, którzy wezmą to na poważnie. Sam Jurgen, książę Trevannion, nie miał zresztą nawet zamiaru, próbować odpowiedzi na tego pogrzebanego psa.

– Mój drogi Lordzie Javasanie, to już jest problem Właścicielstwa Adityi. To są wasi niewolnicy. My nie mamy ani zamiaru, ani prawa do tego, aby ich uwolnić. Ale proszę mi pozwolić przypomnieć panom, że niewolnictwo jest w szczególny sposób zakazane przez Imperialną Konstytucję. Jeżeli nie dokonacie natychmiastowej abolicji, Imperium będzie zmuszone do interwencji. Wydaje mi się, że na ostatnim z tych audiowizuali, widzieli panowie parę przykładów interwencji imperialnych.

Rzeczywiście, widzieli. Kilku z nich popatrzyło z niepokojem na sufit, tak jakby oczekując, że na głowy może w każdej chwili spaść im deszcz piekielnych ogni, niszczycieli planet i bomb z negamaterii. Wtedy wstał jeden z siedzących w ławkach członków Konwokacji.

– Ale my nie wiemy, w jaki sposób mamy to zrobić, książę Trevannion. Zrobimy to, skoro takie jest prawo Imperium, ale musicie nam powiedzieć, jak.

– No cóż, po pierwsze powinniście przyjąć Ustawę Konwokacji, wyjmującą spod prawa posiadanie jednej istoty przez drugą. Ustalić w niej jakąś określoną datę, po której wszyscy niewolnicy muszą zostać

uwolnieni. Nie ma potrzeby, aby odbyło się to zbyt pośpiesznie. Potem, sugerowałbym utworzenie jakiejś agencji, która zajmie się wszystkimi szczegółami. I zaraz jak tylko uchwalicie abolicję niewolników, co powinno nastąpić jeszcze tego popołudnia, wyznaczcie komitet, powiedzmy kilkunastoosobowy, do narad z hrabią Erskyllem i ze mną. Powiedzmy, że komitet ten znajdzie się na pokładzie *Empress Eulalie*, za sześć godzin. Do tej pory, będziemy mieli już zaaranżowane wszystkie kwestie transportowe. Pozwólcie panowie, że nieco dobitniej wskażę pewną rzecz, mam nadzieję że po raz ostatni. Spodziewam się że przedyskutujemy wszystkie sprawy bezpośrednio, bez żadnych pośredników. Nie chcemy kolejnych niewolników, przepraszam, wyzwoleńców, którzy przylecą za was na pokład statku, tak jak się to wydarzyło wczoraj.

Obray, hrabia Erskyll był bardzo nieszczęśliwy z tego powodu. Uważał, że nie można powierzać zadania uwolnienia niewolników, Lordom-Panom. Oznajmił to na promie, wiozącym ich z powrotem na statek. Jurgen, książę Trevannion, skłonny był się z nim zgodzić. Wątpił, czy którykolwiek z Lordów-Panów, których miał okazję zobaczyć, mógł zostać uznany za godnego zaufania, nawet w kwestii samodzielnej naprawy zepsutej łapki na myszy.

Komodor liniowy Vann Shatrak, był również zatroskany. Zastanawiał się, ile czasu zajmie Pyairrowi Ravneyowi, przekształcenie dopiero co wziętych do niewoli żołnierzy-niewolników, w użyteczne oddziały, oraz skąd weźmie pojazdy kontragrawitacyjne, aby przemieszczać ich szybko, z jednego sprawiającego problemy miejsca, w drugie. Erskyll myślał, że komodor przewidywał opór części Panów, i natychmiast zaaprobował ewentualne użycie siły. Zazwyczaj siła była Czymś Złym, ale to był Dobry Powód do jej użycia, co usprawiedliwiało zastosowanie wszelkich środków.

Tego wieczora, zabawiali kolacją wybrany z Konwokacji komitet. Jego członkowie przylecieli na pokład w jednoznacznie wrogim nastroju –– co, w zaistniałych okolicznościach, było raczej zrozumiałe –– i książę Trevannion, podczas poprzedzających kolację koktajli, jak również i potem, w trakcie samego posiłku, musiał roztoczyć wobec nich cały swój bujny urok. Do czasu, zanim przenieśli się na kawę i brandy, do salonu w którym miały odbywać się dalsze rozmowy, Lordowie-ex-Panowie, stali się niemal przyjacielscy.

– Uchwaliliśmy Ustawę Emancypacyjną – przekazał Olvir Nikkolon, który z urzędu został przewodniczącym komitetu. – Każdy niewolnik na planecie, musi zostać uwolniony do czasu otwarcia Świąt Półrocznych.

– A kiedy to będzie?

Aditya, jak wiedział, miała rok o długości trzystu pięćdziesięciu dni. Nawet więc, jeżeli Święta Półroczne minęły niedawno, dawali sobie bardzo mało czasu. Nikkolon odparł, że mniej więcej za sto pięćdziesiąt dni.

– Dobry Boże! – rozpoczął z oburzeniem Erskyll.

– Ja sam również powinienem wykrzyknąć coś podobnego – wtrącił się, ucinając resztę tego, co nowy Prokonsul mógłby jeszcze powiedzieć. –

Panowie, daliście sobie niebezpiecznie krótki okres czasu. Sto pięćdziesiąt dni minie naprawdę szybko, jeżeli macie dwadzieścia milionów niewolników, którymi musicie się zająć. Jeżeli zaczniecie już w tej chwili i nawet będziecie pracować bez przerwy, będziecie mieli nieco poniżej sekundy na każdego niewolnika.

Lordowie-Panowie wyglądali na skonsternowanych. Z zadowoleniem zauważył, że hrabia Erskyll, również.

– Przyjmuję, że macie panowie jakiś system rejestracji niewolników? – mówił dalej.

To było raczej pewne. Mieli bujnie rozwiniętą biurokrację, a biurokracje mają tendencję do rejestracji praktycznie wszystkiego.

– Och tak, oczywiście – zapewnił go Rovard Javasan. – To będzie twoja domena, Sesar, co? Sprawy Niewolnicze?

– Tak, mamy kompletne dane o każdym niewolniku na planecie – odparł Sesar Martwynn, Główny Zarządca, Zarządu Spraw Niewolniczych. – Oczywiście musiałbym o szczegóły spytać Zorzha…

Zhorzh, był to Zhozh Khouzhik, główny niewolnik w biurze Martwynna.

– A przynajmniej, był on moim głównym niewolnikiem do tej pory. Teraz go ode mnie zabieracie. Nie wiem, co mam bez niego zrobić. Jeżeli już o tym mówimy, to nie wiem również, co zrobi biedny Zhorzh.

– Czy panowie poinformowali już swoich głównych niewolników, że są oni wolni?

Nikkolon i Javasan popatrzyli na siebie nawzajem. Sesar Martwynn roześmiał się.

– Oni i tak to wiedzą – stwierdził Javasan. – I muszę powiedzieć, że bardzo ich ta wiadomość zaniepokoiła.

– Mo cóż, pokrzepcie ich zaraz, jak tylko wrócicie do Cytadeli – odparł Jurgen. – Powiedzcie im, że z faktu, że są teraz wolni, wcale nie wynika, że muszą was opuścić. Chyba, że mają taką ochotę. Jeżeli nie, to możecie ich utrzymywać, tak samo jak przedtem.

– Czy to znaczy, że możemy zatrzymać naszych głównych niewolników? – któryś z nich zawołał.

– Tak, oczywiście, tylko będziecie ich teraz nazywali głównymi wyzwoleńcami. No i będziecie musieli płacić im pensje…

– Miał pan na myśli to, że mamy dawać im pieniądze? – dopytywał się z niedowierzaniem Ranal Valdry, Lord Najwyższy Szeryf. – Płacić naszym własnym niewolnikom?

– Ty idioto – wsiadł na niego ktoś inny, – oni nie są już naszymi niewolnikami. To jest właśnie sedno całej dyskusji.

– Ale… w jaki sposób możemy płacić naszym niewolnikom? – spytał jeden z członków komitetu. – To znaczy, chodziło mi o wyzwoleńców.

– Pieniędzmi. Macie chyba pieniądze, co nie?

– Oczywiście, że mamy. Co pan sobie myśli, że my jesteśmy jakimiś dzikusami?

– Jakiego rodzaju pieniądze?

Oczywiście, pieniądze, a co on myślał? Jednostką monetarną był gwiaździsty kawałek metalu, stelly. Kiedy poprosił, o pokazanie mu jakichś monet, byli wręcz oburzeni. Nikt nie nosił pieniędzy przy sobie, to byłoby

nie po Pańsku. Pan nigdy nie dotykał takich rzeczy. Od tego byli przecież niewolnicy. Chciał się dowiedzieć, w jaki sposób ten pieniądz był gwarantowany, ale oni nie pojmowali o co mu chodzi. A kiedy próbował im to jakoś wyjaśnić, niezrozumienie jeszcze się pogłębiło. Zdaje się, że Właścicielstwo emitowało pieniądze, aby finansować same siebie, a poszczególni Panowie emitowali pieniądze, na użytek swoich osobistych rachunków, a wszystko to było zarządzane przez Banki Właścicielstwa.

– Tymi sprawami zajmuje się Zarządca Fedrig Daffysan. Nie ma go tutaj – powiedział Rovard Javasan. – Ja, nie potrafię tego wytłumaczyć.

A bez swojego głównego niewolnika, Fedrig Daffysan, prawdopodobnie również nie byłby w stanie tego zrobić.

– Dobrze, panowie. Rozumiem. Macie pieniądze. Obecnie, pierwszą rzeczą, którą musicie zrobić, jest dostarczenie nam pełnej listy wszystkich posiadaczy niewolników na całej planecie, i listy wszystkich niewolników będących własnością każdego z nich. To zostanie wysłane na Odina i będzie stanowiło podstawę dla rekompensat, jakie zostaną panom wypłacone, za pozbawienie was praw własności w stosunku do tych niewolników. Tak przy okazji, ile jest wart jeden niewolnik?

Nikt nie wiedział. Niewolników nigdy nie sprzedawano. To byłoby nie po Pańsku, sprzedawać swoich niewolników. Nawet nie słyszeli, o takim fakcie.

– No cóż, dojdziemy w końcu do jakiejś wyceny. Teraz, zaraz jak tylko wrócicie panowie do Cytadeli, natychmiast porozmawiajcie ze swoimi dawnymi głównymi niewolnikami oraz ich bezpośrednimi podwładnymi, i wyjaśnijcie im dokładnie, zaistniałą sytuację. Te informacje powinny zostać przekazane w dół, przez wyzwoleńców administracyjnych, aż do robotników. Musicie dopilnować, aby wszyscy, na wszystkich poziomach, jasno zrozumieli, że dopóki wyzwoleńcy pozostaną na swoich stanowiskach pracy, będą odpowiednio zaopatrywani i opłacani. Ale jeżeli odejdą z waszej służby, nie dostaną nic. Czy uważacie panowie, że jesteście w stanie to zorganizować?

– Czy chce pan powiedzieć, że mamy dawać im wszystko to, co dostawali wcześniej, a potem w dodatku jeszcze im zapłacić? – Ranal Valdry prawie zawył.

– Och, nie. Płacicie im ustaloną pensję. Liczycie wszystko to, co im dajecie i potrącacie od ich zarobków. To będzie oznaczało konieczność prowadzenia dodatkowej księgowości, ale poza tym, wydaje mi się że, jak wkrótce sami stwierdzicie, te nowe zasady, wcale aż tak bardzo nie odbiegają od tych obowiązujących wcześniej.

W miarę jak mówił, Panowie zaczęli się odprężać i kiedy już skończył, wielu z nich uśmiechało się z ulgą. Z drugiej strony, hrabia Erskyll niemal skręcał się na swoim krześle. Dla młodego, inteligentnego Prokonsula, o liberalnych ciągotach, musiało być czymś strasznym, siedzenie w milczeniu, kiedy stary, cyniczny Podsekretarz Stanu, wielce go przewyższający w Imperialnej Hierarchii, a w dodatku daleki kuzyn Imperatora, spokojnie przefrymarczył świętą wolność dwudziestu milionów ludzi.

– Ale czy to będzie zgodne z prawem w świetle Konstytucji Imperialnej? – zapytał Olvir Nikkolon.

– Nigdy nie ośmieliłbym się tego sugerować, gdyby było inaczej. Konstytucja zabrania jedynie fizycznego posiadania jednej istoty rozumnej przez drugą. I wyraźnie nie gwarantuje ona nikomu nienależnych środków egzystencji.

Komitet Konwokacji wrócił do Zeggensburga, aby rozpocząć proces przygotowania niewolników do wolności, albo raczej jej sensownej namiastki. Mieli tym się zająć ich główni niewolnicy. Każdy z nich zdawał się mieć kontakt z pozostałymi głównymi niewolnikami, tak że wieści powinni rozejść się szybko, na zasadzie jeden informuje pięciu. Publiczne obwieszczenia zostały odłożone, do czasu zanim wiadomość nie rozejdzie się po wyższych poziomach władzy niewolników. Spotkania z głównymi niewolnikami, w biurach różnych Zarządów, zostały zaplanowane na popołudnie, następnego dnia.

Do chwili kiedy odlatujący członkowie komitetu nie zostali zapakowani do promu, który miał ich zabrać na dół, Hrabia Erskyll prowadził konwersację z wymuszoną uprzejmością. Jednak zaraz jak tylko właz śluzy powietrznej zamknął się za nimi, odciągnął księcia Trevanniona na bok, w miejsce gdzie podwładni nie mogli ich usłyszeć.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, co robisz? – oznajmił z wściekłością, ochrypłym szeptem. – Po prostu zamieniasz czyste niewolnictwo na system wymuszonej służebności!

– Nazwałbym to krokiem w dobrym kierunku. – Skinięciem skierował Erskylla do jednego z małych pojazdów usprawniających poruszanie się korytarzami, wsiadł za nim do niego i uruchomił go, kierując się w stronę obszaru mieszkalnego. – Konwokacja uznała zasadę, że istota rozumna nie może być niczyją własnością. To całkiem dużo, jak na jeden dzień.

– Ale ludzie pozostaną w poddaństwie, przecież wiesz. Panowie będą utrzymywać ich w długach, i będą traktowani równie brutalnie…

– Och, będą pewne nadużycia, tego niestety należy się spodziewać. Ten Zarząd Wyzwoleńców, dawny Zarząd Niewolników, będzie musiał się tym zająć. Lepiej przygotuj sobie notatkę, żeby porozmawiać o tych sprawach z tym głównym wyzwoleńcem Martwynna, jak też on się nazywał? Zhorzh Khouzhik. Tak, dobrze, niech ten Zhorzh Khouzhik się tym zajmie. Prawo warunków zatrudnienia, agencja dochodzeniowa, środki przymusu. Jeżeli on nie będzie potrafił tego zrobić, to nie nasza wina. Imperium nie gwarantuje każdej planecie uczciwego, inteligentnego i efektywnego rządu, a tylko jeden rząd.

– Ale…

– To musi zająć dwa, trzy pokolenia. Początkowo, wyzwoleńcy będą eksploatowani, tak jak zawsze byli, ale z czasem rozpoczną się protesty, burdy, i za każdym razem ich skutkiem będzie pewna niewielka poprawa. Obray, społeczeństwo musi ewoluować. Niech ci ludzie sami wywalczą sobie swoją wolność. Tylko wtedy będą jej godni.

– Oni powinni otrzymać swoją wolność już teraz.

– To, obecne pokolenie? A jak ty myślisz, co dla nich oznacza wolność? *Nie musimy już więcej pracować*. A więc rzucić w diabły narzędzia, i niech wszystko natychmiast stanie. *Możemy robić to, co nam się podoba*. A więc pozabijać nadzorców. No i: *Wszystko, co należy do Panów, należy też do nas. Przecież teraz, my także jesteśmy Panami*. Nie, sądzę że na tę chwilę lepiej będzie im powiedzieć, że ta sprawa z wolnością, to tylko mnóstwo śmiesznego Pańskiego gadania, że to niczego tak naprawdę nie zmienia, w ogóle. Przede wszystkim, przyczyni się to do znacznej oszczędności amunicji Jego Cesarskiej Mości.

Podrzucił Erskylla do jego mieszkania, podjechał do własnego i odesłał spod niego samochód. Kiedy wszedł do środka, czekał tam już na niego Lanze Degbrend.

– Ravney ma kłopoty. To właśnie jest słowo, którego użył – poinformował go Degbrend. W słowniku Pyairra Ravneya, kłopoty oznaczały strzelaninę. – Wieści o Akcie Emancypacji przeciekają dosłownie wszędzie. Część oddziałów na północy, które nie zostały jeszcze rozbrojone, buntuje się, a w wielu miejscach wybuchają powstania niewolników.

– Oni myślą, że Panowie ich porzucili, i że każdy niewolnik sam będzie musiał się o siebie martwić. – Nie spodziewał się, że może to się rozpocząć, aż tak szybko. – Lepiej wydać to obwieszczenie tak rychło, jak to tylko będzie możliwe. Obawiam się, że i tak będziemy mieli trochę kłopotów. Czy masz jakieś dojścia informacyjne do licznego zespołu hrabiego Erskylla? Wykorzystaj z nich tyle, ile możesz.

– Myśli pan, sir, że on ma zamiar próbować sabotażu pańskiego programu zatrudnienia?

– Och, on nie będzie tego widział w ten sposób. On będzie próbował powstrzymać mnie przed sabotowaniem Emancypacji. Nie chce czekać trzech pokoleń. Chce ich wszystkich uwolnić od razu. Dla sześciomiesięcznych szczeniaków, sześcioletnich dzieci oraz wszelkiej maści reformatorów w dowolnym wieku, wszystko musi być od razu.

Obwieszczenie zostało jednak wydane dopiero następnego dnia, niemal koło południa. Podkreślone w nim było, w słowach zrozumiałych dla każdego półgłupka, na najniższym nawet poziomie umysłowym, że wszystko to co się stało, oznacza jedynie, że od tej chwili niewolnicy powinni być nazywani wyzwoleńcami, że mogą oni posiadać pieniądze, tak jak Lordowie-Panowie, oraz że jeżeli uczciwie pracują i są posłuszni poleceniom, będą dostawać wszystko to, co otrzymują w tej chwili. Ravney przerzucał oddziały to tu, to tam, reagując na sporadyczne wybuchy niezadowolenia i nieporządku. Wiele z nich zostało stłumionych, pozostałe same wygasły, po audycji telewizyjnej, wyjaśniającej całą sytuację.

W dodatku, paru ludzi z wywiadu, podległych komandorowi Douvrinowi, odkryło, że jedynym źródłem materiałów rozszczepialnych i

radioaktywnych na planecie, był kompleks kopalni uranu, zakładów wzbogacania, instalacji oczyszczających i elektrowni jądrowych, na mniejszym z dwóch kontynentów Adityi, Austragonii. Pomimo innych pilnych potrzeb wymagających użycia jego zasobów, Ravney desantował kilka oddziałów żołnierzy, którzy je przechwycili, a za nimi podążył zespół inżynierów z pokładu *Empress Eulalie*, aby dokonać ich inspekcji.

Podczas lunchu hrabia Erskyll wykazywał nieco mniejszą bezkompromisowość w sprawie propozycji płaca-za-zatrudnienie. Bez wątpienia, niektórzy z jego doradców wytłumaczyli mu co mogłoby się stać, gdyby jakaś nieco bardziej znacząca część siły roboczej Adityi, raptownie przerwała swoją pracę, a fala buntów, która wezbrała zanim przygotowane zostało publiczne obwieszczenie, bardzo go zaskoczyła i zdeprymowała. Musiał również zająć się znalezieniem odpowiedniego budynku na pałac prokonsularny. Sprawy Imperium na Adityi, na dłuższą metę, nie mogły być prowadzone z pokładu statku.

Po przylocie do Cytadeli, jeszcze tego samego popołudnia, stwierdzili, że główni wyzwoleńcy, niekompetentnych szefów Zarządów, zebrali się razem w dużej sali na piątym poziomie, licząc od góry. Pośrodku pomieszczenia znajdowało się skupisko wielkich stołów, ekranów komunikacyjnych i telefonów przewodowych, a wokół niego porozstawiano mniejsze stoły, przy których siedzieli wyzwoleńcy, w różnie ubarwionych strojach. Osiemnastu ludzi siedzących przy stołach ustawionych na środku, nosiło białe szaty głównych niewolników.

Trevannion, Erskyll, Patrique Morvill i Lanze Degbrend, przyłączyli się do tych ostatnich. Ich podwładni skierowali się całą grupą –– złożoną z kilku oficerów Ravneya i paru ludzi z licznego zespołu doradców i specjalistów Erskylla –– do stołów zewnętrznych, rozdzielając się tak, by usiąść ze swoimi odpowiednikami z Zarządów Właścicielstwa. Wszyscy ludzie po stronie Adityan, wydawali się być zaniepokojeni towarzystwem tych dziwnych, hermafrodycznych stworzeń, które nie były ani niewolnikami, ani Lordami-Panami.

– No dobrze, panowie – zagaił hrabia Erskyll, – jak przypuszczam, zostaliście poinformowani przez swoich byłych Lordów-Panów, o tym jak w przyszłości będą wyglądały, stosunki między nimi a wami.

– Och, tak, Lordzie Prokonsulu – ze szczęściem w głosie odparł Khreggor Chmidd. – Wszystko pozostanie tak jak było przedtem, z wyjątkiem tego, że Lordowie-Panowie, będą określani jako Lordowie-Pracodawcy, a niewolnicy nazywani będą wyzwoleńcami i jeżeli tylko będą mieli ochotę na to, aby zagłodzić się na śmierć, będą mogli porzucić swoich Pracodawców.

Hrabia Erskyll zmarszczył brwi. To nie było dokładnie to, czego się spodziewał, w kwestii znaczenia faktu Emancypacji dla tych ludzi.

– Chociaż muszę powiedzieć, że nikt nie rozumie tej sprawy, z pieniędzmi – zauważył Zhorzh Khouzhik, główny wyzwoleniec Sesara Martwynna. – Mój Lord-Pan… – Uderzył się ręką w usta i powtórzył: – Lord-Pracodawca! – pięciokrotnie, szybko, raz za razem. – Mój Lord-*Pracodawca*, próbował mi to jakoś wyjaśnić, ale wydaje mi się, że on sam również tego do końca nie rozumie.

– Żaden z nich tego nie rozumie.

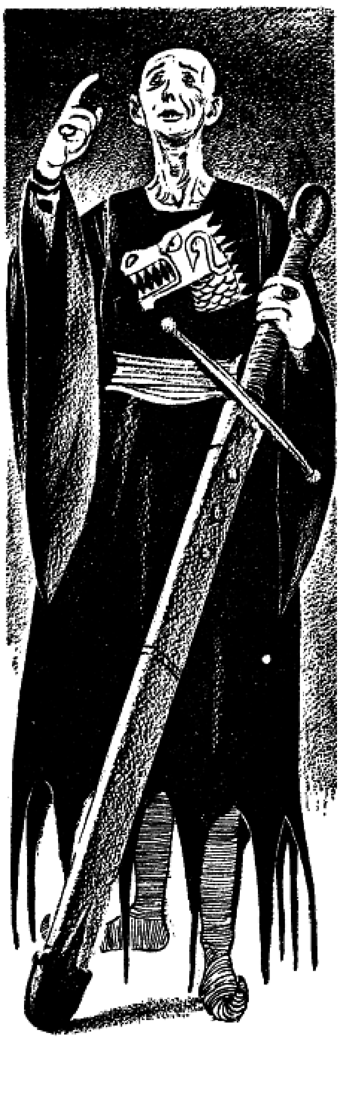
Mówcą był niewysoki człowiek, o bladych oczach i ustach jak szczur w pułapce. Był to Yakoop Zhannar, główny wyzwoleniec Ranala Valdry'ego, Najwyższego Szeryfa.

– Tak prawdę mówiąc, to twój pomysł, książę Trevannion – stwierdził Erskyll. – Może więc ty będziesz w stanie jakoś to wyjaśnić.

– Och, to bardzo proste. Rozumiecie, panowie…

Rzeczywiście wydawało się to proste, przynajmniej wtedy, kiedy zaczął. Praca była towarem, który sprzedawał pracownik, a kupował pracodawca. „Uczciwa płaca", było to takie wynagrodzenie, które pozwalało obydwóm działać z zyskiem. To są rzeczy, o których wiedział każdy –– poza mieszkańcami Adityi. Na Adityi niewolnicy pracowali, ponieważ byli niewolnikami, a Pan utrzymywał ich, ponieważ był ich Panem, i to w zasadzie wszystko, co można było powiedzieć na ten temat. Teraz jednak, jak się wydawało, ma już nie być Panów, jak również niewolników.

– I to jest sedno całej sprawy – odparł, kiedy ktoś powiedział mniej więcej coś podobnego. – Również i teraz, jeżeli niewolnik, to jest chciałem powiedzieć, wyzwoleniec, będzie potrzebował jedzenia, musi pracować i zarobić pieniądze na jego kupno. A jeżeli pracodawcy chcą wykonania jakiejś pracy, muszą płacić ludziom za jej wykonanie.



– A więc, po co nam wszystkim te całe kłopoty z pieniędzmi? – To był starszy wiekiem główny wyzwoleniec Mykhyl Eschkhaffar, którego Lord-Pracodawca Oraze Borztall, był Zarządcą Robót Publicznych. – Zanim przyleciały wasze okręty, niewolnicy pracowali dla Panów, a Panowie opiekowali się niewolnikami, i wszyscy byli zadowoleni. Dlaczego nie zostawić tego, tak jak jest?

– Ponieważ Imperator Galaktyki, który jest Lordem-Panem tych ludzi, oznajmił, że nie zgadza się na dalsze istnienie niewolników. I nie pytaj mnie, dlaczego – warknął na niego Tchall Hozhet. – Ja również tego nie wiem. Ale oni mają tutaj statki, działa i żołnierzy. Co więc możemy zrobić?

– To było dosyć bliskie prawdy – przyznał Jurgen. – Ale jest jedna rzecz, której nie wzięliście pod uwagę. Niewolnik dostaje tylko to, co daje mu jego pan. A wolny pracownik, jako zapłatę dostaje pieniądze, które może wydać na to, co mu się żywnie podoba, a jeśli zechce, może je również zaoszczędzić. Ponadto, jeśli stwierdzi, że ma okazję zarobić więcej pieniędzy, pracując dla kogoś innego, może odejść od swojego obecnego pracodawcy i wziąć lepszą pracę.

– Nie pomyśleliśmy o tym – stwierdził Khreggor Chmidd. – Niewolnikowi, nawet głównemu

niewolnikowi, nigdy nie wolno było posiadać własnych pieniędzy. Nawet jeśli gdzieś, jakieś zdobył, nie miał żadnych możliwości aby je wydać. Ale teraz… – Wyglądał tak, jakby pojął w końcu, że otworzyły się przed nim wspaniałe widoki. – Teraz możemy zbierać pieniądze. Nie wydaje mi się, żeby zwykły robotnik był w stanie to robić, ale niewolnicy wyższych klas… A już szczególnie główni niewolnicy… – Plasnął się w usta i pięciokrotnie powtórzył: – Wyzwoleńcy!

– Masz rację, Khreggor. – To był Ridgerd Schferts (Fedrig Daffysan, Zarząd Finansów). – Jestem pewien, że teraz kiedy jesteśmy wyzwoleńcami, będziemy mogli zarobić całkiem sporo pieniędzy.

Ta koncepcja, wywołała wśród niektórych z nich krótką chwilę zastanowienia. Stopniowo, zaczęło świtać im w głowach zrozumienie. Obray, hrabia Erskyll wyglądał na przygnębionego. Zdaje się, że miał nadzieję na to, że zebrani wyzwoleńcy nie będą myśleć o dyskutowanych sprawach, w sposób w jaki mocno podejrzewał, że myślą.

– A co z wyzwoleńcami Właścicielstwa? – spytał inny z byłych niewolników. – My, tutaj, będziemy opłacani przez naszych Lordów-Pan… Lordów-Pracodawców. Ale wszyscy, począwszy od zielonych szat, byli utrzymywani przez Właścicielstwo. Kto im teraz będzie płacił?

– Nie wiedzę problemu, oczywiście Właścicielstwo – wzruszył ramionami Ridgerd Schferts. – Mój Zarząd –– to jest, chciałem powiedzieć, Zarząd mojego Lorda-Pracodawcy –– wypuści pieniądze, aby im zapłacić.

– Możecie potrzebować nowych pras drukarskich – stwierdził Lenze Degbrend. – To straszna kupa papieru.

– Ta planeta będzie potrzebowała waluty akceptowalnej przez handel międzygwiezdny – powiedział Erskyll.

Wszyscy popatrzyli na niego pustym wzrokiem. Szybko zmienił temat:

– Panie Chmidd, czy mógłby mi pan, albo pan Hozhet, powiedzieć jakiego rodzaju konstytucję ma Właścicielstwo AditYi?

– Chodzi panu o coś podobnego do tego papieru, który pan czytał w Konwokacji? – spytał Hozhet. – Och, w ogóle nie ma niczego takiego. Dawni Lordowie-Panowie, po prostu rządzili.

Nie. Oni panowali. Tak naprawdę, rządziło to niewolnicze tammanihal[1] –– kolejne starodawne określenie terrańskie, o niepewnym źródle pochodzenia.

– No dobrze, a więc jak zorganizowane jest Właścicielstwo? – nie dawał za wygraną Erskyll. – W jaki sposób Lord Nikkolon został przewodniczącym prezydium, a lord Javasan szefem administracji?

To było bardzo proste. Konwokacja składała się z głów Pańskich rodzin, tak w rzeczywistości, niewielkich klanów, i liczyła około dwa i pół tysiąca przedstawicieli. Wybierali oni siedmiu członków prezydium, którzy ciągnęli losy, aby wybrać przewodniczącego. Urzędy te miały charakter dożywotni.

[1] Chodzi tu o tzw. Tammany Hall, potoczna nazwa politycznej organizacji, stowarzyszenia w łonie Partii Demokratycznej, działającego głównie w XIX i pierwszej połowie XX wieku, w Stanach Zjednoczonych. Wywierało ono znaczący, zakulisowy wpływ na rządy Demokratów zarówno na poziomie lokalnym (Manhattan), jak i ogólnokrajowym (przyp. tłumacza)

Wakaty były uzupełniane, poprzez wybór, spośród nominowanych przez pozostałych żyjących członków. Prezydium wyznaczało Głównych Zarządców, którzy również pełnili swoje funkcje do końca życia.

Przynajmniej, było to rozwiązanie stabilne. Miało charakter samo-utrzymujący.

– Czy Konwokacja stanowi prawa? – pytał dalej Erskyll.

Hozhet lekko się zmieszał.

– *Stanowi* prawa, Lordzie Prokonsulu? Och, nie. My mamy prawa.

Trzeba przyznać, że tu i tam, w całym Imperium, zdarzały się planety, na których takie nastawienie, byłoby wybitnie korzystne. Planety posiadające obieralne parlamenty, w których każdy ich członek, czuł się zobligowany do uchwalenia podczas swojej kadencji, tak wielu aktów prawnych, jak to tylko było możliwe.

– Ale to jest straszne. Musicie przecież mieć konstytucję! – Obray Erskyll był wyraźnie wstrząśnięty. – Trzeba będzie skorzystać z jakiejś już napisanej, i zaadaptować ją.

– Zupełnie nic o tym nie wiemy – przyznał Chmidd. – To jest coś zupełnie nowego. Będziecie musieli nam w tym pomóc.

– Na pewno to zrobimy, panie Chmidd. Powiedzmy, że utworzycie komitet –– złożony z pana, pana Hozheta i trzech lub czterech innych osób, sami ich sobie panowie dobierzecie –– i możemy zebrać się razem i omówić, co będzie nam potrzebne. Jeszcze jedna sprawa. Musimy przestać nazywać to wszystko co tworzymy Właścicielstwem. Nie będzie już więcej żadnych Panów, ani właścicieli.

– Może Pracodawcostwo? – śmiertelnie poważnym tonem rzucił Lanze Degbrend.

Erskyll spojrzał na niego z gniewem.

– To jest coś – powiedział do głównego wyzwoleńca, – co nie powinno należeć tylko do samych pracodawców. To powinno należeć do każdego. Nazwijmy to Wspólnotą. To oznacza, że wszyscy posiadają to, wspólnie.

– Jeżeli coś posiadają wszyscy, to nie posiada tego nikt – sprzeciwił się Mykhyl Eschkhaffar.

– Och, nie, Mykhyl. To będzie należało do każdego. – Gorliwie przerwał mu Khreggor Chmidd. – Ale ktoś będzie musiał się tym zaopiekować, dla dobra wszystkich. A to – dodał z zadowoleniem na twarzy, – będzie już sprawą twoją, moją i reszty nas tutaj siedzących.

– Coś mi się wydaje – stwierdził Yakoop Zhannar, niemal się uśmiechając, – że ta wolność będzie naprawdę cudowną rzeczą. Dla nas.

– A mnie to wszystko się nie podoba! – z uporem oświadczył Mykhyl Eschkhaffar. – Za dużo nowych rzeczy, za dużo zmieniających się nazw. Musimy nazywać niewolników, wyzwoleńcami. Musimy nazywać Lordów-Panów, Lordami-Pracodawcami. Musimy nazywać Zarząd do Spraw Niewolników, Zarządem dla Wyzwoleńców. A teraz jeszcze musimy nazwać Właścicielstwo tym nowym określeniem, Wspólnota. I w dodatku wszystkie te nowe rzeczy, dla których nie ma rutynowych procedur, ani żadnych dyrektyw. Żałuję, że ci ludzie w ogóle usłyszeli o naszej planecie.

– No, to jest nas już dwóch – dodał Patrique Morvill, *sottovoce*.

– No cóż, sprawa planetarnej konstytucji, może jeszcze troszeczkę poczekać – zasugerował książę Trevannion. – Mamy dużo więcej punktów w porządku naszego dzisiejszego spotkania, którymi musimy zająć się natychmiast. Na przykład, jest ta sprawa znalezienia siedziby na pałac prokonsularny…

Przy małych stołach, przy których zespół politycznych, ekonomicznych i technologicznych ekspertów Erskylla, naradzał się z podwładnymi najwyższych niewolników, wykonano zadziwiającą ilość pracy. To zaczęło wychodzić na jaw podczas koktajli przed kolacją, na pokładzie *Empress Eulalie*, trwało dalej w czasie posiłku, a w pełni stało się jasne w trakcie formalnej sesji koordynacyjnej, jaka miała miejsce później.

Znalezienie odpowiedniego budynku na Pałac Prokonsularny, będzie przedstawiało poważne trudności. Na Aditayi nie handlowano nieruchomościami, już dużo wcześniej zanim pojawili się na niej niewolnicy. To byłoby nie tylko nie po Pańsku, ale wręcz nielegalne. Wszystkie posiadłości miały charakter majoratu i stanowiły niezbywalną własność Pańskich rodzin. To, co chcieli zakupić, była to jedna z izolowanych wieży mieszkalnych w Zeggensburgu, położona na tyle daleko od Cytadeli, aby uniknąć wrażenia zbyt ścisłego nadzoru. Ostatnią rzeczą, jakiej ktokolwiek by chciał, było umieszczenie Prokonsula w samej Cytadeli. Zarząd Gospodarki Właścicielstwa, obiecał jednak, że spróbuje coś w tej sprawie zrobić. Bez wątpienia, oznaczało to jednak, że *Empress Eulalie*, będzie musiała wisieć nad Zeggensburgiem przez najbliższy rok, albo jeszcze dłużej, służąc jako Pałac Prokonsularny.

Zarząd Niewolników, obecnie przechrzczony na Zarząd Wyzwoleńców, miał się podjąć realizacji zadania pilnowania praw świeżo wyemancypowanych niewolników. Konieczne było stworzenie Prawa Pracy –– Hrabia Erskyll został zaproszony do pomocy w jego przygotowaniu –– oraz odpowiednich sił dochodzeniowych i agencji karno-kontrolnej, pod kierownictwem Zhorzha Khouzhika.

Na spotkaniu obecny był jeden z ludzi komandora Douvrina, który wizytował instalacje przemysłu jądrowego na Austragonii. Wysłuchali jego relacji:

– Wielki Ghu, powinniście panowie zobaczyć te zakłady! Ludzie tam pracują w miejscach, do których nie wysłałbym nawet robota osłoniętego polem siłowym, a tamtejszy szpital pełen jest przypadków choroby popromiennej. Wyposażenie tych fabryk, chyba było przywiezione tutaj jeszcze przez Wikingów Kosmicznych. To co zostało, to największy bajzel przeklętego, posztukowanego sznurkiem złomu, jaki kiedykolwiek w życiu widziałem. To wszystko powinno zostać wyrzucone na śmietnik i odbudowane od samych podstaw.

Erskyll chciał się dowiedzieć, do kogo należały te fabryki. Do Właścicielstwa, usłyszał odpowiedź.

– To prawda – potwierdził jeden z jego ekonomistów. – Do Zarządu Robót Publicznych. – Prawdopodobnie chodziło to o Mykhyla Eschkhaffara,

który z taką zaciekłością sprzeciwiał się nowej nomenklaturze. – Jeżeli ktoś potrzebuje jakichś materiałów rozszczepialnych do reaktorów energetycznych, albo substancji radioaktywnych do konwersji jądrowo-elektrycznej, jego główny niewolnik do spraw interesów, dostaje to, co mu jest potrzebne. Co więcej, nawet nie musi się podpisać, że to odebrał.

– To oni nie sprzedają tego, żeby zarobić?

– Nifflheim, nie! Ten rząd nie potrzebuje dochodów. Ten rząd finansuje się dzięki fałszerstwu. Kiedy Właścicielstwo potrzebuje pieniędzy, po prostu każą Ridgerdowi Schfertsowi nadrukować kolejną stertę. Tak samo wszyscy inni.

– Ale przecież takie pieniądze są nic nie warte! – Erskyll był przerażony, co w szybkim tempie stawało się u niego stanem normalnym.

– A kogo tutaj obchodzą pieniądze, Obray – zwrócił uwagę Jurgen. – Czy nie słyszałeś ich, wczorajszego wieczora? To nie po Pańsku, zajmować się tak trywialnymi rzeczami jak pieniądze. Oczywiście, każdy jest winien każdemu za wszystko, ale przecież w końcu to pozostaje w rodzinie!

– Hmm, coś trzeba będzie z tym koniecznie zrobić!

Tego wieczora, to był już co najmniej dziesiąty raz, jak powtarzał te słowa.

Kiedy następnego popołudnia Khreggor Chmidd przekazał na statek informację przez komunikator, że zostało znalezione miejsce na pałac Prokonsularny, i będzie ono gotowe do przejęcia za jakiś dzień, dwa, uderzyło to praktycznie jak piorun. Główny wyzwoleniec Zarządu Gospodarki Właścicielstwa i Lord Zarządca Sprawiedliwości, znaleźli pewną nieruchomość, Elegry Palace, która od lat nie była zamieszkana, poza, jak opisywał, niewielkim zespołem ludzi zajmujących się jej utrzymaniem. Spowodowane to było faktem, że dwie rodziny spierały się o prawo jej dziedziczenia, a niewolnicy prawnicy w nieskończoność drobiazgowo roztrząsali szczegóły tej kwestii przez niewolnikiem sędzią. Główny wyzwoleniec i Lord Zarządca Sprawiedliwości, po prostu wezwali przed swoje oblicze sędziego oraz prawników, i polecili im natychmiast rozstrzygnąć tę sprawę. Wyrok polegał na opłaceniu obu stronom sporu pełnej wartości budynku. Dawało to po około pięćdziesiąt milionów stelly, dla każdego. Arbitralnie wartość stelly w imperialnych koronach została wyceniona w stosunku sto do jednego. Milion koron, była to kwota, jaką taki budynek byłby wart, z wyposażeniem, na Odinie. Miała ona zostać opłacona przekazem przez Imperialne Ministerstwo Skarbu.

– Dobrze, przynajmniej masz teraz na planecie, trochę twardej waluty – powiedział hrabiemu Erskyllowi Jurgen, kiedy tego dnia wieczorem, siedzieli razem przy przed-kolacyjnym drinku. – Mam tylko nadzieję, że nie spowoduje to inflacji, jeżeli w ogóle można użyć tego pojęcia, w odniesieniu do adyitiańskich pieniędzy.

Erskyll strzelił palcami.

– No, tak! Ale przecież są jeszcze te pieniądze, które wydaliśmy na zapasy. A kiedy rozpoczną się wypłaty rekompensat… Wybacz mi na chwileczkę.

Pośpieszył gdzieś, z drinkiem w ręku. Po dłuższej przerwie, wrócił z nowym, który wziął po drodze od robota zajmującego się barem.

– No dobrze, sprawa jest już załatwiona – oznajmił, po powrocie. – Moi ludzie od finansów, skontaktowali się z wyzwoleńcami Ridgerda Schferta. Spadkobiercy Elegry dostaną swoje pieniądze w adityańskich stelly, a korony imperialne pozostaną w Banku Wspólnoty, albo może nawet jeszcze lepiej, w jakimś banku w Asgardzie, aby dać Adityi dostęp do pozaplanetarnego kredytu. Dokładnie to samo zrobimy z naszymi innymi wydatkami, oraz z rekompensatami za uwolnienie niewolników. Wszystko to, cudownie się układa. Ta planeta potrzebuje dosłownie wszystkiego, jeżeli chodzi o wyposażenie dla przemysłu. W taki sposób, będziemy mogli to zdobyć.

– Ale, Obray, pamiętaj jednak, że rekompensaty są własnością poszczególnych Panów. Powinny być wypłacone w koronach. Zdajesz sobie sprawę, równie dobrze jak ja, że ta stopa wymiany sto do jednego, jest czysto tutejszą fikcją. Dla handlu międzygwiezdnego, wartość tych stelly w koronach, wynosi dokładnie zero-kropka-zero.

– Wiesz przecież co by się stało, gdyby ci byli Panowie dostali do ręki imperialne korony – odparł Erskyll. – Wydali by je tylko bez sensu, na kompletnie bezużyteczny import towarów luksusowych. Ta planeta potrzebuje całkowitej modernizacji, a to jest jedyny sposób zdobycia pieniędzy, aby za nią zapłacić. – Gestykulował z podnieceniem, trzymając w dłoni niemal pełną szklaneczkę. Książę Trevannion cofnął się o krok, aby uniknąć bardzo prawdopodobnego ochlapania. – Nie czuję nawet cienia sympatii dla tych byłych Panów. W obecnej chwili należy do nich każdy patyk i kamień, każda drobinka kurzu na tej planecie. Czy uważasz, czy to jest sprawiedliwe?

– Być może, nie. Ale to, co proponujesz, tak samo nie jest.

Obray, hrabia Erskyll, jednak tego nie rozumiał. Jego propozycja miała zabezpieczyć Największe Dobro, dla jak Największej Liczby Ludzi, i do Nifflheim z tymi mniej licznymi, którym przypadkiem przytrafiło się stanąć mu na drodze.

Następnego dnia rano, Marynarka przejęła Pałac Elegry, wywiesiła na nim flagę z Imperialnym Słońcem i Kołem Zębatym, oraz zaczęła przekazywać obrazy z wnętrza, na *Empress Eulalie*. Budynek był znacznie mniejszy, niż Pałac Imperialny w Asgardzie, na Odinie, ale oglądając pomieszczenie po pomieszczeniu, wydawało się, że jego wyposażenie było raczej znacznie bardziej bogato zdobione i kosztowne. Po południu kolejnego dnia, zespół kontrwywiadu, który poleciał na dół, złożył raport, że Pańskie kwatery mieszkalne, zostały oczyszczone z kamer, mikrofonów i innych urządzeń podglądających i podsłuchujących umieszczonych przez niewolników. Znaleziono ich całe stosy. *Canopus* został odwołany ze

swojego posterunku na północnych krańcach kontynentu i zaczął wysyłać na dół, składowane na pokładzie wyposażenie prokonsulatu, włączając to kilkaset robotów domowych.

Okazało się przy tym, że szkieletowy zespół, utrzymujący budynek, o którym wspominał Chmidd, dobiegał do liczby pięciuset ludzi.

– Co my teraz z nimi zrobimy? – dopytywał się Erskyll. – Mamy przecież limit na kwotę wydatków dla utrzymania prokonsulatu, no i nie możemy płacić pięciuset bezużytecznym pracownikom obsługi. Jakiś wyzwoleniec jako kierownik, do tego kilkunastu asystentów i jeszcze paru ludzi do obsługi robotów, kiedy już ich wyszkolimy, ale nie pięćset osób…!

– Niech Zhorzh się tym zajmie – zasugerował książę Trevannion. – Przecież do tego chyba właśnie mamy Zarząd Wyzwoleńców. Aby znajdować zatrudnienie dla wyzwolonych niewolników. Po prostu wszystkich uwolnij, i przekaż ich Khouzhikowi.

Khouzhik natychmiast umieścił całą grupę na liście płac swojego Zarządu. Zhorzh miał obecnie pełne ręce roboty. Zatrudnił wszystkich swoich najlepszych matematyków, z których niektórzy nawet rozumieli zasady użycia działania suwaka logarytmicznego, próbując stworzyć skalę płac. Erskyll pożyczył mu kilku ludzi ze swojego personelu. Żadna ze stworzonych przez któregokolwiek z nich koncepcji, nie dała się wprowadzić w życie. Khouzhik musiał również zorganizować korpus urzędników dochodzeniowych, i zaczynał właśnie anektować prywatne kompanie strażnicze swojego Lorda-ex-Pana, które stopniowo przeorganizowywał w siły policyjne.

Produkcja w zakładach jądrowych na Austragonii, została zamknięta. Mykhyl Eschkhaffar nakazał wprowadzenie programu racjonowania i priorytetowego dostępu, aby zaoszczędzić zmagazynowane zapasy plutonu i izotopów radioaktywnych. Zdecydował również, że od tej chwili produkty związane z energią jądrową, będą sprzedawane, a nie dostarczane swobodnie. Dowiedział się, jakie były obecnie notowania rynkowe na Odinie, przeliczył je na stelly i przyjął jako obowiązujące. To była tylko cena bazowa. Dochodziły do tego łapówki za umieszczenie na liście przydziałów priorytetowych, prowizje dla wyzwoleńców niższego szczebla i lewe pieniądze dla wyzwoleńców zajmujących się interesami Lordów-ex-Panów, którzy kupowali towar. Ci ostatni byli kompletnie nieświadomi, żaden z nich nawet się o tym nie dowiedział.

Konwokacja została zamknięta, aż do czasu następnej regularnej sesji, rozpoczynającej się w Półroczne Święta, ośmiodniowy okres przestępny, pozwalający podzielić 358 dniowy adityański rok na dziesięć miesięcy, o długości trzydziestu pięciu dni. Hrabia Erskyll był zadowolony, że sobie pojechali. Pracował nad konstytucją dla Wspólnoty Adityi, i jak na razie zrobił bardzo niewielki postęp w tym kierunku.

– To jedno z tych złożonych rozwiązań ustawowych, opartych na kontroli i równowadze – przekazywał Jurgenowi Lanze Degbrend. – Jako punkt wyjścia, przyjął konstytucję Atona, z obieralnym prezydentem, jako

formą substytutu dziedzicznej monarchii. Oczywiście, dodał do tego wiele specjalnych pomysłów. Takie typowe koncepcje atoniańskich Radykalnych Demokratów. Chmiddowi, Hozhetowi i innym głównym niewolnikom, ten pasztet również się nie podoba.

– Klepnij się w usta i powtórz pięć razy 'wyzwoleńcom'.

– Idiotyzm – jego podwładny odparował w kompletnie niesubordynowany sposób. – Potrafię rozpoznać niewolnika, kiedy go widzę. Niewolnik jest niewolnikiem, niezależnie od tego czy będzie miał na szyi ten kołnierz, czy nie. Nawet jeżeli go nie założył, to jest on wytatuowany w jego duszy. Starcie tego piętna wymaga co najmniej trzech pokoleń.

– Szkoda tylko, że hrabia Erskyll… – rozpoczął Jurgen. – Co jeszcze słychać u naszego prokonsula?

– No cóż, obawiam się, że próbuje przygotować coś w rodzaju planu całkowitej nacjonalizacji wszystkich gospodarstw rolnych, fabryk, urządzeń transportowych oraz innych środków produkcji i dystrybucji – powiedział Degbrend.

– Nie próbuje chyba zrobić tego sam, co? – Zorientował się, że powiedział to bardzo ostro, i zmienił ton głosu. – W każdym razie, nie zrobi tego przy pomocy władzy Imperium, ani imperialnych wojsk. Nie, dopóki ja tutaj jestem. A nawet, kiedy wrócę na Odina, dopilnuję, żeby Vann Shatrak dobrze to zrozumiał.

– O, nie. Zrobi to sama Wspólnota Adityi – odparł Degbrend. – To znaczy Chmidd, Hozhet, Yakoop Zhannar, Zhorzh Khouzhik, i cała reszta tej kliki. Erskyll chce całą sprawę przeprowadzić legalnie i zgodnie z prawem. Oznacza to jednak, że będzie musiał poczekać aż do Świąt Półrocznych, kiedy zbierze się Konwokacja. Wtedy będzie chciał doprowadzić do uchwalenia swojej konstytucji. Oczywiście, jeżeli mu się uda do tego czasu ją napisać.

Vann Shatrak wysłał w kosmos dwa niszczyciele, aby przebadały księżyce Adityi, zresztą również dwa. Księżyc zewnętrzny, Aditya-*Ba'*, był nieregularnym odłamem skalnym, o średnicy pięćdziesięciu mil, ledwie widocznym gołym okiem z powierzchni planety. Wewnętrzny satelita, Aditya-*Alif*, był natomiast ośmiusetmilową kulą. Kiedyś znajdowała się na nim planetarna stacja dla statków i baza stoczniowa. Zdaje się, że zostały porzucone, kiedy adityańska technologia i ekonomia, zaczęły uginać się pod ciężarem systemu niewolniczego. Większość instalacji pozostała, działały nieprawidłowo, ale były możliwe do naprawienia. Komodor Shatrak przeniósł tyle osób ze swojego personelu technicznego, ile mógł, na *Mizara* i wysłał ich aby wyremontowali stocznię i doprowadzili podziemne miasto, z powrotem do stanu zdatnego do zamieszkania, tak by satelita mógł być użyty jako baza dla jego statków. Następnie podjął decyzję o wysłaniu *Irmy* z powrotem na Odina, z raportami na temat aneksji Adityi, propozycją aby Aditya-*Alif* została przekształcona w stałą bazę imperialnej marynarki, oraz z prośbą o przysłanie większej liczby żołnierzy.

Książę Trevannion nagrał na taśmy swoje własne raporty, opisując ogólną sytuację na nowo przejętej planecie, i nie robiąc nic, aby zminimalizować problemy, którym stawiał czoła Prokonsul.

– Hrabia Erskyll – kończył, – działa najlepiej jak to możliwe, w warunkach, w których ja osobiście, byłbym skłonny do ograniczenia planowanych zadań. Niewykluczone jednak, że tego rodzaju młodzieńczy entuzjazm nie jest pozbawiony wartości w polityce Imperium, jeżeli nie jest on do przesady wybujały. Jak rozumiem, komodor Shatrak, który także boryka się z pewnymi trudnymi problemami, poprosił o wzmocnienie sił wojskowych. Ja również uważam, tę prośbę za dostatecznie uzasadnioną, i rekomendowałbym wysłanie posiłków tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Rozumiem również, że pan komodor rekomendował utworzenie stałej bazy marynarki, na większym z dwóch satelitów tej planety. To także popieram, bez żadnych zastrzeżeń. Takie posunięcie przyniosłoby bardzo pożądany efekt w oddziaływaniu na miejscowy rząd. Rekomendowałbym dalej, aby na stanowisko dowódcy bazy został mianowany komodor Shatrak, wraz ze stosownym awansem, na który zasłużył już dawno temu.

Erskyll był zaskoczony, że sam Jurgen nie wrócił niszczycielem na Odina, i bez wątpienia bardzo zaniepokojony tym faktem. Wspomniał o tym tego wieczora, podczas przedkolacyjnego koktajlu.

– Wiem, że moja praca tutaj, uległa zakończeniu. Stało się to już w chwili gdy Konwokacja przegłosowała zgodę na przyjęcie władzy Imperium – odparł książę Trevannion. – Chciałbym jednak przedłużyć mój pobyt na Adityi, do Półrocznych Świat. Konwokacja będzie wtedy głosowała nad twoją konstytucją, i chciałbym przekazać Premierowi raport na temat ich zachowania. A tak przy okazji, jak ci z tym idzie?

– No cóż, mamy już z grubsza wstępną wersję. Ja specjalnie się w to nie angażuję, ale obywatel Hozhet, obywatel Chmidd, obywatel Zhannar i inni, podchodzą do tej sprawy z największym entuzjazmem, a w końcu to przecież oni będą żyli pod władzą nowej konstytucji.

Pańskie posiadłości, stałyby się okręgami wyborczymi. Z każdej z nich, wyzwoleńcy mieli wybierać przedstawicieli do regionalnych rad wyborczych, te z kolei wybierałyby przedstawicieli do centralnej rady wyborczej, która wybierałaby Najwyższą Ludową Radę Legislacyjną. Ta ostatnia pełniłaby nie tylko rolę ciała ustawodawczego, ale również wybierałaby Najwyższego Zarządcę, który miał mianować Głównych Zarządców, a ci, dalej wyznaczaliby swoich podwładnych.

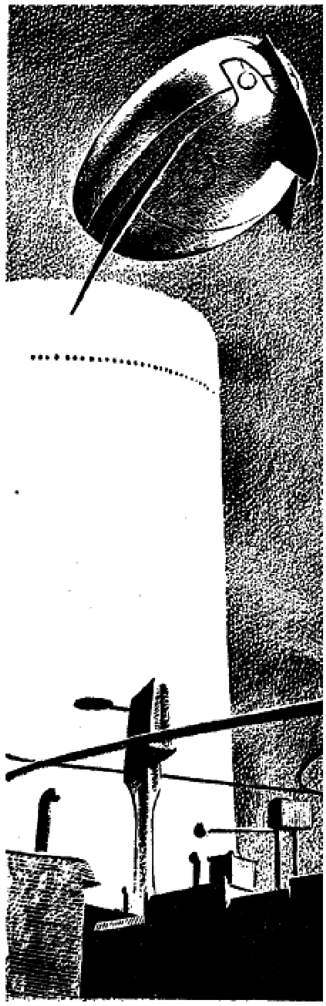
– Mnie osobiście, niezbyt to się podoba – oznajmił Erskyll. – To podejście nie jest dostatecznie demokratyczne. Powinno wprowadzić się bezpośrednie głosowanie ludzi. No cóż – stwierdził z niechęcią, – przypuszczam, że nauczenie się przez nich demokracji, musi zająć trochę czasu. – Był to pierwszy raz, kiedy Erskyll otwarcie to przyznał. – W ciągu pięciu lat ma powstać Konwencja Konstytucyjna, aby napisać nową konstytucję.

– A co z Konwokacją? Nie spodziewasz się chyba, że oni sami zagłosują za usunięciem się w nicość, co?

– Och, w bieżącej konstytucji utrzymamy Konwokację, ale nie będzie miała ona żadnej władzy. Za pięć lat, od dzisiaj, pozbędziemy się jej całkowicie. Posłuchaj tylko, nie masz chyba zamiaru działać przeciwko temu, co? Nie będziesz radził tym byłym Lordom-Panom, aby głosowali przeciwko mojej ustawie, kiedy w końcu dojdzie do głosowania?

– Z pewnością, nie. Myślę, że twoja konstytucja –– czy też Khreggora Chmidda i Tchalla Hozheta, żeby być dokładnym –– nie skończy się niczym innym, jak tylko polityczną katastrofą. Zapewni ona jednak jakąś polityczną stabilność, a to jest wszystko, co jest istotne z imperialnego punktu widzenia. Dyplomacja Imperium musi zawsze pilnować się, aby nie sympatyzować zbyt mocno z miejscowymi grupami interesu, a nie za bardzo jestem w stanie wymyśleć jakąś inną planetę, na której byłbym jeszcze dalszy od tego rodzaju pokus. Jeżeli ci Lordowie-Panowie będą chcieli zagłosować za poderżnięciem sobie gardeł, a niewolnicy zechcą ponownie zapędzić się do niewoli, mogą sobie to wszystko zafundować, z moim absolutnym błogosławieństwem.

Gdyby był choć odrobinę skłonny do dramatycznych gestów, posłałby kogoś po wodę i obmył sobie ręce.



Metaforycznie mówiąc, na razie, właśnie dokładnie to zrobił. Jego zainteresowanie stanem spraw na Adityi, przypominało od tej pory zainteresowanie widza nudnym i głupawym show. Śledził je, ponieważ nie było nic innego do oglądania, żałując, że powrót na Odina, na pokładzie *Irmy*, nie był jeszcze możliwy. Premier miał jednak absolutne prawo do pełnego i wyczerpującego raportu, na temat tego nowego klejnotu w koronie Imperium. Mało prawdopodobne było uzyskanie go od hrabiego Erskylla. Tak więc, aby był go w stanie dostarczyć, musiał pozostać na miejscu, przynajmniej do czasu Świąt Półrocznych, podczas których Konwokacja miała głosować za nową konstytucją. Fakt czy konstytucja zostanie przyjęta, czy odrzucona, sam w sobie był zupełnie nieważny. W obydwu przypadkach Aditya będzie miała rząd, uznawany jako władza planetarna przez Imperium, które już wcześniej uznało parę naprawdę niezbyt dobrze wyglądających rządów. Ponadto w obydwu przypadkach, Aditya nie miała szans na sprawienie najmniejszych nawet kłopotów, komukolwiek, na jakiejkolwiek innej planecie. Nie będzie ich zresztą miała jeszcze przez bardzo długi czas, nawet gdyby nie została zaanektowana. Żadnej planecie, zamieszkałej przez ludzi z Terry, nie można było jednak

ufać, że pozostanie na stałe pokojowa i izolowana. W ludziach z Terry, zawsze jarzyła się iskierka agresywnej ambicji, niezależnie od tego, jak bardzo byli oni stłamszeni istniejącymi warunkami. Iskierka ta mogła tlić się przez wieki, a nawet tysiąclecia, a potem rozdmuchana przez wiatr jakichś losowych wydarzeń, wybuchnąć potężnym płomieniem. Zmieniając troszeczkę kierunek tej metafory, Imperium nie mogło sobie pozwolić na pozostawienie niestrzeżonych naczyń, w których zupełnie nieoczekiwanie mogło się coś gdzieś zagotować.

Od czasu do czasu ostrzegał młodego Erskylla, o niebezpieczeństwach związanych z przepracowaniem, oraz nadmiernym zaangażowaniem emocjonalnym. Przy każdym spotkaniu Prokonsul wyrzucał z siebie jakąś historię o kłótniach, podchodach i rywalizacji pomiędzy głównymi wyzwoleńcami kierującymi poszczególnymi Zarządami. Obywatel Khouzhik i obywatel Eschkhaffar –– oni wszyscy teraz zwracali się do siebie, korzystając z tytułu 'obywatel' –– walczyli o pewne pokrywające się częściowo obszary swoich kompetencji. Khouzhik chciał zmienić nazwę swojego Zarządu, na Pracy i Przemysłu. Gwałtownie sprzeciwił się temu Mykhyl Eschkhaffar. Każdy przemysł, który w ogóle miał być zarządzany, według niego powinien znajdować się w gestii jego Zarządu. Usiłował tutaj także wymanewrować Oraze Borztalla, z Zarządu Robót Publicznych. A wszyscy darli między sobą koty o zrobotyzowany i zdalnie sterowany sprzęt, który wysyłano z *Empress Eulalie*, do zakładów energii nuklearnej, na Austragonii.

Khouzhik pozostawał też w sporze z Yakoopem Zhannarem, który wcześniej przezwał się Najwyższym Szeryfem Ludowym. Khouzhik przejął wszystkie uzbrojone prywatne straże z Pańskich farm i fabryk i scalił je w twór, nazwany przez siebie Ludową Policją Pracy, pozornie mający na celu wymuszenie przestrzegania nowego Prawa Praktyk Zatrudnienia. Zhannar nalegał, aby policję tę przeniesiono pod jego Zarząd. Kiedy Chmidd i Hozhet poparli Khouzhika, zaczął podnosić rwetes, domagając się powrotu pod jego kontrolę, regularnej armii.

Komodor Shatrak, był bardziej niż zadowolony, mogąc pozbyć się armii adityańskiej, podobnie jak i Pyairr Ravney, który nią bezpośrednio dowodził. Adityan nie interesowało jakim sposobem to się odbędzie. Zhannar był wręcz zachwycony, podobnie jak Chmidd i Hozhet, oraz, co dziwne, Zhorzh Khouzhik. Mniej więcej w tym samym czasie zniesiony został, proklamowany w dniu lądowania, stan obowiązywania prawa wojennego.

Dni wlokły się jeden za drugim. W nowym Pałacu Prokonsularnym, odbyło się kilka widowisk, dla Pańskich rezydentów Zeggensburga, zaś Erskyll i jego personel, zabawiani byli w pańskich pałacach. Kolejne tego typu wydarzenia towarzyskie, kosztowały księcia Trevanniona, koszmarne bóle głowy –– były to godziny niekończącego się potężnego objadania się niezbyt wymyślnymi potrawami, picia zbyt słodkiego wina i oglądania ex-niewolniczych aktorów, którzy prezentowali sztuki albo brutalne, albo obsceniczne, a często i to i to, a w dodatku, co było jeszcze trudniejsze do zniesienia, potwornie głupie. Pańskie dialogi, były po prostu bezmyślne i idiotyczne.

Jurgen pożyczył od Ravneya terenowy samochód zwiadowczy. On, Lanze Degbrend i, zazwyczaj, ten czy inny z młodszych oficerów Ravneya, robili sobie długie ekspedycje badawcze. Łowili ryby w górskich strumieniach, polowali na małą, jeleniowatą, zwierzynę łowną. Jurgen z zaskoczeniem stwierdził, że te wycieczki bawią go bardziej, niż wszystko inne, co robił w ostatnich latach, a już z pewnością od czasu gdy na ekranach widokowych *Empress Eulalie*, pojawiła się Aditya. Od czasu do czasu prosili, i otrzymywali, gościnę na którejś z dużych Pańskich nieruchomości ziemskich. Zawsze witani byli z przesadną wręcz serdecznością, zawsze też gospodarze zaskoczeni byli faktem, że osoby o ich randze i znaczeniu, mogą podróżować samotnie, nie otoczone wielką świtą służących.

Jak stwierdził, w każdym miejscu, w którym się zatrzymywał, sprawy wyglądały niemal dokładnie tak samo. Żadne z gospodarstw nie produkowało więcej niż jedną czwartą potencjalnych plonów z akra, a wszystkie skandalicznie wyjałowiały ziemię. Dziesięciu niewolników –– nawet nie zadawał sobie trudu nazywania ich wyzwoleńcami –– wykonywało pracę jednej osoby, a setka spośród nich przez cały dzień wykonywała pracę, którą jeden robot skończyłby jeszcze przed południem. Biało odziani główni niewolnicy wysługiwali się, ubranymi w zielone i pomarańczowe togi, kontrolerami i urzędnikami. Nadzorcy ciągle jeszcze nosili, i często używali, biczy, pejczy i pałek z napełnionych piaskiem worków.

Raz, czy dwa, kiedy miał okazję podziwiać Pańskie plecy, pochwycił błysk morderczej nienawiści w oczach któregoś z wyższych niewolników. Raz, czy dwa, kiedy Pan myślał, ze on stoi odwrócony, mógł dostrzec podobny widok w Pańskich oczach, skierowany w stronę jego albo Lanze.

Zbliżały się Półroczne Święta. Za każdym razem kiedy wracał do miasta, było ono coraz bardziej podekscytowane toczącymi się przygotowaniami. Zarząd Robót Publicznych, Mykhyla Eschkhaffara, nadał najwyższy priorytet odnowieniu Sali Konwokacji i otaczających ją salonów i jadalni, w których Panowie mogli relaksować się, w trakcie przerw w obradach. W mieście tłoczyło się coraz więcej i więcej Pańskich rodzin. Przybywały z odległych posiadłości, z całymi flotyllami pojazdów kontragrawitacyjnych i orszakami służących, aby zabawić się w swoich miejskich pałacach. Bankiety, bale i występy, robiły się więc coraz większe i coraz barwniejsze. Do czasu rozpoczęcia Świąt, wszyscy Panowie, mężczyźni, kobiety i dzieci, mieli znaleźć się w mieście.

Do miasta zaczęły przybywać również długie kolumny wojskowych pojazdów kontragrawitacyjnych, transporterów pełnych żołnierzy, wozów bojowych. Yakoop Zhannar sprowadzał tu całą swoją niedawno odzyskaną armię, a Zhorzh Khouzhik nowo sformowaną Ludową Policję Pracy. Vann Shatrak, który obecnie dowodził swoją jednostką liniową, przy pomocy komunikatora, z Pałacu Prokonsularnego, zaczął trochę się tym niepokoić.

– Żałuję, że musiałem tak szybko znieść stan wojenny – kiedyś powiedział Jurgenowi i Erskyllowi. – Szkoda również, że Pyairr okazał się być tak zaskakująco skuteczny w ponownym przeszkoleniu tych

jednostek. To może nas kosztować parę dodatkowych ofiar, zanim zakończymy tutaj nasze zadanie.

Hrabia Erskyll wyśmiewał jego troski i niepokoje.

– To jest tylko efekt tej całej rywalizacji pomiędzy obywatelem Khouzhikiem i obywatelem Zhannarem – stwierdził. – Oni są podobni do dwóch byłych Lordów-Panów, rywalizujących ze sobą, aby wyprawić jeszcze bardziej ekstrawaganckie święta. Zhannar ma zamiar urządzić przegląd swoich oddziałów, co oczywiście spowodowało, że Khouzhik chce urządzić przegląd swojej policji. To wszystko, jeśli chodzi o tę sprawę.

– No cóż, pomimo wszystko żałuję, że nie dotarły jeszcze do nas żadne posiłki z Odina – odparł Shatrak.

W dniach poprzedzających Półroczne Święta, Erskyll był bardzo zajęty, albo naradzał się albo w Cytadeli, z byłymi niewolnikami, pełniącymi funkcje szefów Zarządów, albo w Pałacu Prokonsularnym z Hozhetem i Chmiddem, oraz głównymi niewolnikami wpływowych przywódców Konwokacji i członków prezydium. Wszyscy byli ekstremalnie optymistyczni, jeżeli chodzi o konstytucję.

Sam Jurgen, zupełnie nie był w stanie zrozumieć przyczyn tego optymizmu.

– Gdybym to ja był jednym z tych Lordów-Panów, w ogóle nie brałbym pod uwagę głosowania za czymś takim – mówił Erskyllowi. – Wiem, że oni są kompletnymi osłami, ale nie mogę uwierzyć, że są na tyle głupi, aby ochoczo popełnić samobójstwo, bo do tego to wszystko właśnie się sprowadza.

– Tak, faktycznie do tego – radośnie zgodził się z nim Erskyll. – Jak tylko ją uchwalą, nie będą mieli większego wpływu, niż Zgromadzenie Parów na Atonie. Nie będą mieli żadnego głosu, jeżeli chodzi o działanie Wspólnoty, tak samo na nową konstytucję, która zostanie przyjęta najdalej za pięć lat. A to będzie oznaczało ich koniec. Wszystkie wielkie posiadłości, fabryki, kopalnie i kontragrawitacyjne linie transportowe zostaną znacjonalizowane.

– I zostaną zupełnie z niczym, poza pełnymi torbami nic niewartych papierowych stelly – dokończył Jurgen. – Właśnie o to mi chodziło. Co cię skłania do myśli, że oni tak ochoczo będą chcieli za tym zagłosować?

– Po prostu, nie wiedzą, za czym głosują. Będą myśleli, że głosują za utrzymaniem swojej kontroli nad Właścicielstwem. Ludziom takim jak Olvir Nikkolon, Rovard Javasan, Ranal Valdry, czy Sesar Martwynn, wydaje się, że ciągle jeszcze są właścicielami swoich głównych wyzwoleńców. Sądzą, że Hozhet, Chmidd, Zhannar i Khouzhik robią dokładnie to, co im mówią. Zawsze wierzą we wszystko, co mówią im tacy Hozhetowie, Chmiddowie, i Zhannarowie. A wszyscy główni niewolnicy mówią swoim Lordom-Pracodawcom, że jedynym sposobem na utrzymanie kontroli w rękach, jest przyjęcie tej konstytucji. Że bez trudu będą mogli sterować wyborami w swoich posiadłościach, i wybrać ręcznie Ludową Radę Legislacyjną. Mówię ci, mój drogi książę Trevannion, że konstytucja jest tak samo pewna, jakby była już uchwalona.

Dwa dni przed otwarciem posiedzenia Konwokacji, powracająca z Odina *Irma*, weszła w zasięg łączności radiowej, czyli zbliżyła się na

odległość poniżej pięciu godzin świetlnych od Adityi, i zaczęła, z sześćdzięciokrotnie większą prędkością, transmitować nagrane na taśmach wiadomości. Raporty Erskylla, oraz jego, zostały przyjęte. Rutynowe podziękowania „dobra robota”, za udaną aneksję. Pochwały dla Shatraka, za przeprowadzenie operacji desantowej. Rozkazy, żeby przejąć Aditya-Alif i rozpocząć budowę stałej bazy Marynarki. Powiadomienie o awansie Shatraka na dowódcę bazy i admirała oraz wystawione dla niego pełnomocnictwo in blanko, na mianowanie wybranej osoby na komodora. Został nim Patrique Morvill. W końcu wiadomość, że za piętnaście dni, mają wyruszyć z Odina na Adityę, krążownik transportowy Algol, przenoszący na pokładzie, brygadę kawalerii kontragrawitacyjnej Armii, oraz dwa statki techniczne. Ta ostatnia wiadomość zburzyła większą cześć zadowolenia nowego admirała dowodzącego bazą.

– Wielki Ghu! Piętnaście dni! A te pudła, lecąc tutaj, nawet nie zbliżą się do prędkości *Irmy*. Będziemy mieli szczęście, jeżeli zobaczymy je za dwadzieścia dni. A sam tylko Belzebub wie, co może stać się tutaj do tego czasu.

Przy czterech pierwszych próbach, na wielkim ekranie komunikatora nie pojawił się żaden obraz. Wszyscy tłoczyli się w jednej z sal konferencyjnych dla kierownictwa, w Pałacu Prokonsularnym. Rzędy sprzętu komunikacyjnego i rejestrującego, rozmieszczone pomiędzy inkrustowanym złotem, luksusowym Pańskim umeblowaniem, tworzyły wyjątkowy dysonans funkcjonalny. Shatrak zaklął.

– Andrey, myślałem że twoi ludzie umieścili te urządzenia do inwigilacji w takim miejscu, żeby tamci nie mogli ich znaleźć – powiedział do komandora Douvrina.

– Nie ma takiego miejsca, sir – odparł oficer wywiadu. – Są tylko miejsca w których trudno je znaleźć.

– Czy wspominał pan o naszych sensorach Chmiddowi, Hozhetowi, albo któremuś z reszty wygolonych łbów? – Shatrak spytał Erskylla.

– Nie. Nawet nie wiedziałem, gdzie zostały założone. To sami wyzwoleńcy musieli je znaleźć – tłumaczył się Erskyll. – Nie mam też pojęcia, dlaczego nie chcieli, żebyśmy wiedzieli co tam się dzieje.

Lenze Degbrend, stojący koło ekranu komunikatora, ponownie przekręcił przełącznik, i tym razem ekran zamigotał, rozjaśnił się i spoglądali na Salę Konwokacji, z samego jej tyłu, sponad podwójnych drzwi. Daleko przed nimi, Olvir Nikkolon wstał właśnie z wysadzanej złotem onyksowej ławy, z głośnika dostojnie zabrzmiał dźwięk dzwonka sygnałowego, i szmer ponad dwóch tysięcy głosów, lekko przycichł. Nikkolon rozpoczął przemowę.

– Siedem i pól wieku temu, nasi ojcowie wyruszyli z Morglay, aby zatknąć na tej planecie swój sztandar…

Była to ewidentnie ceremonialne przemówienie, które recytował rok, po roku, tak samo jak każdy Lord Przewodniczący prezydium przed nim. Wspaniałe tradycje. Chwała rasy Panów. Podbijający wszystko Wikingowie

Kosmiczni. Dumne dziedzictwo Planet-Mieczy. Lanze pokręcił gałkami sterującymi, powiększając obraz i skupiając go na głowie i ramionach mówcy. Wszyscy roześmiali się głośno. Nikkolon miał w jednym uchu małą słuchawkę, z cieniutkim kabelkiem biegnącym w dół, i dalej znikającym za kołnierzem Lorda Przewodniczącego. Degbrend przełączył z powrotem obraz na całą Salę Konwokacji.

Nikkolon mówił i mówił. Vann Shatrak wezwał robota, aby przyniósł mu zimne piwo i kolejne cygaro. Erskyll wystukiwał niecierpliwie paznokciami, na inkrustowanym złotem blacie stojącego przed nim stołu, jakiś szalony rytm. Lenze Degbrend zaczął dodawać do słów Nikkolona złośliwe sarkastyczne komentarze. A Pyairr Ravney, pochodzący z Lugaluru, pośpieszył go korzystając z powiedzenia wywodzącego się z ulubionego sportu jego planety:

– Dalej, dalej, wypuśćcie tego byka. Czy to ważne, że brama jest zamknięta?

W takim przypadku szybko zostałaby otwarta, a byk wyłoniłby się z niej, kopiąc ziemię nogami i wściekle parskając.

– W tym roku, na Adityę przybyli inni zdobywcy, aby zatknąć tutaj kolejny sztandar. Słońce i Koło Zębate Imperium Galaktycznego. Muszę się zarumienić, mówiąc te słowa, ale jesteśmy równie bezradni wobec tych zdobywców, jak ci godni pożałowania barbarzyńcy i ich nieszczęśni poddani, których nasi ojcowie podbili siedemset sześćdziesiąt dwa lata temu, i których potomkowie aż do dzisiejszego czarnego dnia, byli naszymi niewolnikami.

Mówił dalej, a jego głos coraz mocniej rozpalał się pasją, i robił się coraz bardziej wojowniczy. Hrabia Erskyll wiercił się niespokojnie. To nie w taki sposób powinna być wprowadzana konstytucja Chmidda-Hozheta.

– Tak więc, pod groźbą siły, przyjęliśmy zwierzchność tego obcego Imperium. Obecnie jesteśmy więc poddanymi Jego Cesarskiej Mości, Rodrika III. Musimy rządzić Adityą zgodnie z Konstytucją Imperialną. – (Jęki, buczenie, gwizdy, miauczenie, jeżeli żyjący na Adityi odpowiednik kotów, potrafił wydawać z siebie takie odgłosy.) – I ta Konstytucja, jednym ruchem ręki, uwolniła niewolników, obaliła tę swoistą dla naszego ustroju instytucję, na której bazuje cała nasza struktura społeczna. To jeszcze rozumiem. Ale ta sama Konstytucja Imperialna stanowi dla nas ochronę równie silną jakby była stworzona z collapsium. Pozwolę sobie skierować naszą uwagę na Punkt Pierwszy, Rozdziału Drugiego: *Każda planeta Imperium jest samorządna w zakresie swoich spraw wewnętrznych, w sposób jaki sama sobie wybierze i bez żadnej ingerencji z zewnątrz*. Zapamiętajcie to dobrze, ponieważ to jest nasza gwarancja, że ten rząd, złożony z Panów, powołany przez Panów i dla Panów, nigdy nie zniknie na Adityi! – (Długie owacje).

Po chwili przerwy podjął dalej.

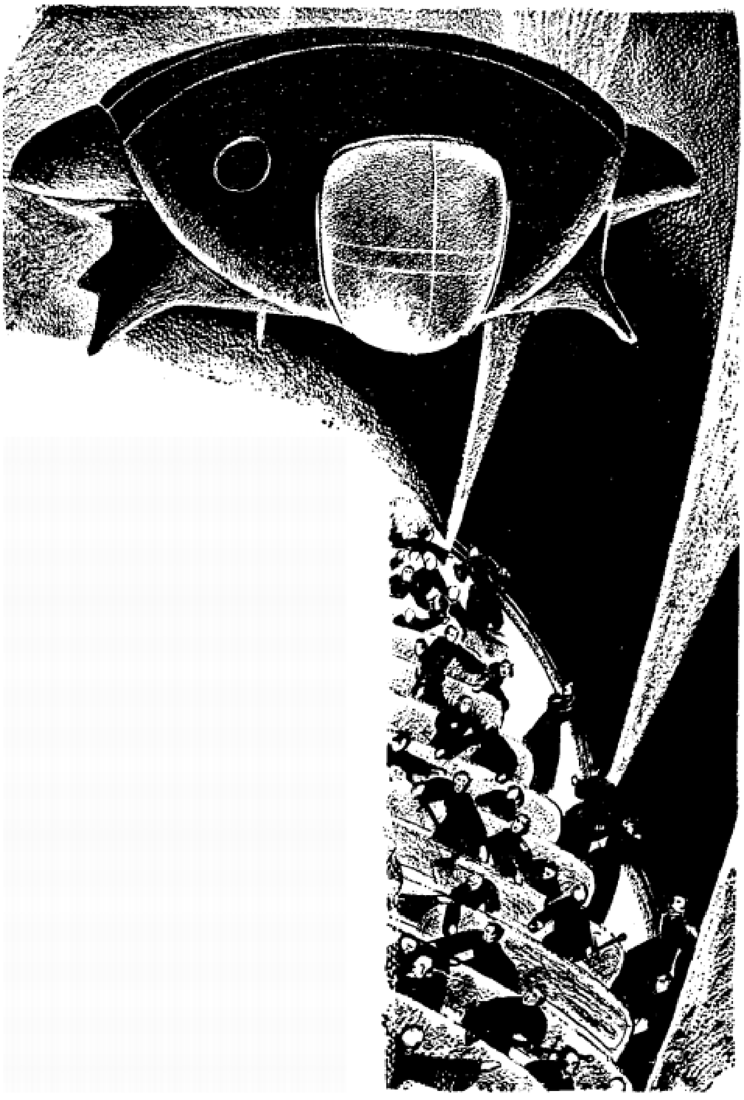
– Obecnie, ci aroganccy zdobywcy, podeptali swoje własne najwyższe prawo. Napisali dla naszego Właścicielstwa konstytucję, stworzoną w jedynym celu. W celu likwidacji klasy i razy Panów. Usiłowali wymusić na nas przyjęcie tej konstytucji planetarnej, grożąc nam siłą, oraz przez haniebną próbę zniszczenia wierności naszych głównych niewolników ––

nie będę obrażał naszych lojalnych poddanych, określając ich tą nową obrzydliwą nazwą, wyzwoleniec –– tak byśmy mogli zostać po raz kolejni oszukani, uchwalając zgodę na naszą własną zgubę. Tym razem jednak, ich plany zawiodły. Nasi główni niewolnicy ostrzegli nas, o pułapce kryjącej się w tej konstytucji, podyktowanej przez Prokonsula, hrabiego Erskylla. Mój wierny Tchall Hozhet pokazał mi wszystkie pułapki, kryjące się w tym haniebnym dokumencie…

Obray, hrabia Erskyll wpatrywał się w ekran z konsternacją. Potem zaczął straszliwie przeklinać i bluźnić. Nigdy wcześniej nie słyszano aby to robił, a ponieważ był, przynajmniej nominalnie panteistą, oznaczało to bluźnierstwa przeciwko całemu nieskończonemu wszechświatowi.

– To szczury! Brudne, zdradzieckie szczury! Przylecieliśmy tutaj, żeby im pomóc, a spójrzcie tylko, jak oni nas zdradzili…! – Jego głos zgubił się w rzężącym szlochu, a potem zapytał: – Dlaczego oni to zrobili? Dlaczego oni chcą dalej być niewolnikami?

Być może tego chcieli. Nie zrobili tego z miłości do swoich Lordów-Panów, Jurgen był tego pewien. Nawet na samym początku, nie byli w stanie ukryć swojej pogardy…



Wtedy Jurgen zobaczył, jak Olvir Nikkolon przerywa w pół słowa i wyrzuca rękę, wskazując na coś znajdującego się bezpośrednio pod kamerą. Kiedy przyglądał się dokładniej, aby zobaczyć co się dzieje, w polu widzenia kamery, płynąc w powietrzu, pojawiło się coś zielono-szarego. Zdalnie sterowany pojazd kontragrawitacyjny. Jeden z pojazdów, wysłanych na planetę z *Empress Eulalie*, do użytku w kopalniach uranu. Kiedy wzleciał wyżej i poruszał się dalej, w stronę środka pomieszczenia, inni Lordowie-Panowie, zerwali się na nogi.

Vann Shatrak również zerwał się na nogi, rzucając się do panelu sterującego ekranu i wyłączając dźwięk. Udało mi się to zrobić dosłownie w ostatniej chwili, aby uchronić ich przed, co najmniej chwilowym, ogłuszeniem, ponieważ w tym samym momencie kiedy uciszył komunikator, pojazd zniknął w potężnym rozbłysku, który wypełnił światłem całe pomieszczenie.

Kiedy mroczki zniknęły im sprzed oczu, zaś dym i kurz zaczął się przerzedzać, zobaczyli Salę Konwokacji, leżącą w zupełnej ruinie. Z góry ciągle spadał deszcz odłamków z tynku i kawałków plastiku. Ławy ze złota i onyksu były w wielu miejscach połamane. Znajdujące się przed nimi miejsca Głównych Zarządców i umieszczone wyżej prezydium, zupełnie zniknęły. Między ławami leżało mnóstwo ubranych na czarno ciał, niektóre z nich jeszcze się poruszały. Z płonącej odzieży unosił się dym. Admirał Shatrak ponownie włączył dźwięk. Z ekranu zaczęły dobiegać jęki i krzyki bólu oraz przerażenia.

Wtedy otworzyły się drzwi na obydwu bocznych, długich, ścianach Sali, i pojawiły się w nich czerwono-brązowe uniformy. Żołnierze ruszyli do środka, ściągając z ramion karabiny i pistolety maszynowe. Uchylając się przed ciągle spadającym tynkiem, szli naprzód, jednocześnie strzelając. Kilku z nich odwiesiło swoją broń palną na pasek i podniosło noszone przy Pańskim stroju miecze, używając ich do dobijania leżących między ławami rannych. Krzyki stawały się coraz rzadsze, aż w końcu ucichły.

Hrabia Erskyll siedział jak sparaliżowany, wpatrując się w ekran z pobielałą twarzą i zgrozą w oczach. Niektórzy z pozostałych, zaczęli opanowywać zaskoczenie i dyskutowali w podnieceniu między sobą. Vann Shatrak stał przy komunikatorze, rozmawiając ze znajdującym się na pokładzie *Empress Eulalie* komodorem Patrique Morvillem.

– Przygotuj wszystkie oddziały desantowe i wszystkich marynarzy, jakich będziesz mógł oderwać od ich obowiązków i uzbroić. I każdy pojazd, jaki jest na pokładzie. To jest dopiero początek, kolejnym krokiem będzie ogólna masakra Panów. Prawdę mówiąc, nie mam raczej żadnych wątpliwości, że już się zaczęła.

Przy innym komunikatorze, Pyairr Ravney rozmawiał z oficerem dyżurnym, pełniącym tego dnia służbę w Ochronie Pałacu.

– Nie, nic nie wiadomo, co zrobią dalej. Niezależnie od tego co to będzie, ma pan być na to gotowy, na dziesięć minut temu.

Jurgen przygasił swojego papierosa i wstał. Kiedy to robił, Erskyll ocknął się z ogarniającego go oszołomienia i zerwał się na nogi.

– Komodorze Shatrak! To jest chciałem powiedzieć, admirale! – sam się poprawił. – Musimy ponownie wprowadzić stan wojenny. Szkoda, że

namówiłem pana na jego zakończenie. Proszę tylko na to popatrzeć! – Wskazał ręką na ekran. Przez drzwi pod kamerą wlatywały do Sali duże platformy ładunkowe, ze znajdującym się na nich tłumem ludzi w tunikach służby państwowej. Wraz z żołnierzami zaczęli wywlekać ciała spomiędzy siedzeń, ładować je na platformy i wywozić z Sali. – Oto mamy rząd planetarny, który został wymordowany, co do ostatniego człowieka.

– Obawiam się, że nie możemy zastosować tego rodzaju rozwiązań – wtrącił Jurgen. – Wygląda to na zwykłą zmianę władzy przy pomocy zamachu stanu, o nieco bardziej ekstremalnym charakterze niż zwykle, ale mieszczącym się w ramach normalnej praktyki politycznej, na tego rodzaju planetach. Imperium nie ma prawa się wtrącać.

Erskyll zwrócił się do niego z oburzeniem.

– Ale to jest przecież masowe morderstwo!

– To fakt dokonany. Ktokolwiek wydał rozkaz, obywatel Chmidd, obywatel Hozhet i cała reszta tych twoich dobrych demokratycznych obywateli, stanowią obecnie rząd planetarny Aditya. Dopóki nas nie atakują i uznają zwierzchność Imperatora, będziesz musiał ich za taki uznawać.

– Tę bandę morderców o zakrwawionych rękach? Uznawać ich?

– Każdy z rządów ma tu i ówdzie, trochę krwi na rękach. Tym razem widziałeś to na ekranie, zamiast czytać o tym w podręczniku historii, ale to nie powinno robić żadnej różnicy. A sam przecież mówiłeś, że Panowie powinni zostać wyeliminowani. Mówiłeś o tym w kółko, Chmiddowi, Hozhetowi i innym. Oczywiście chodziło ci o podejście legalne, przy pomocy konstytucyjnych i demokratycznych środków, ale to zdało się im trochę za bardzo nużące. Zebrali ich wszystkich razem, w jednym pomieszczeniu, w którym można było ich łatwo wyeliminować, i… Lanze zobaczyłbyś, czy nie uda ci się złapać czegoś z przekazów telewizyjnych z Cytadeli.

Degbrend włączył kolejny z monitorów komunikacyjnych i pokręcił przez chwilę jego gałkami. Na ekranie pokazał się widok Sali Konwokacji, z innego kąta.

– … nikt nie uszedł żywcem. Ludowa Policja Pracy, działająca na rozkaz Ludowego Zarządcy Pracy, Zhorzha Khouzhika i Ludowego Najwyższego Szeryfa, Yakoopa Zhannara, eliminuje obecnie resztę byłej klasy Panów, którzy wszyscy przybyli tutaj, do Zeggensburga. Cała ludność proszona jest o współpracę. Zabijcie każdego z nich, mężczyznę, kobietę i dziecko. Nie wolno nam pozwolić na to, by którykolwiek z tych śmierdzących wyzyskiwaczy ludu, przeżył na tyle długo, by zobaczyć dzisiejszy zachód słońca…

– A więc chciałby pan, abyśmy siedzieli tutaj z założonymi rękoma, podczas gdy te zwierzęta będą szlachtować kobiety i dzieci? – dopytywał się Shatrak, wodząc wzrokiem od prokonsula do podsekretarza stanu. – No nie, na Ghu, ja tak nie mogę. Jeżeli będę musiał stanąć za to przed sądem, to niech tak będzie, ale…

– Nie będzie pan musiał, panie admirale. Zdaje się, że przypominam sobie, parę lat temu, przypadek komodora Hastingsa, który został mianowany baronetem, za powstrzymanie pogromu na Anath…

– I musimy przetransmitować obwieszczenie, że każdy należący do klasy Panów, może otrzymać azyl tutaj, w Pałacu Prokonsularnym. Oni są uchodźcami politycznymi, mamy na to mnóstwo precedensów – dodał Erskyll.

Shatrak był już z powrotem przy ekranie komunikacyjnym, połączonym z *Empress Eulalie*.

– Patrique, uruchom promień blokujący, skupiony na stacji telenadawczej w Cytadeli. Zdejmij ich z anteny. Nadaj na tej samej długości fali obwieszczenie, że każdy proszący o azyl w Pałacu Prokonsularnym, zostanie przyjęty i otrzyma ochronę. I zacznij wysyłać na dół żołnierzy i wszystkich marynarzy, bez których możesz się obejść.

Jednocześnie, Ravney mówił do swojego własnego komunikatora:

– Plan Cztery. Wariant H-3. To jest operacja ratunkowa. Nasza akcja nie jest, powtarzam i podkreślam, *nie* jest interwencją skierowaną przeciwko rządowi planetarnemu. Waszym zadaniem jest ochrona członków klasy Panów, przed niebezpieczeństwem wywołanym przez ataki tłumu. Macie chronić wszystkich z włosami na głowie. Trzymać się z dala od Cytadeli. Panowie znajdujący się tam, są już martwi. Rozpocznijcie od czterech budynków, położonych najbliżej nas i oczyśćcie je. Jeżeli jakieś łyse pały będą sprawiać wam jakiekolwiek problemy, nie dyskutujcie z nimi, po prostu ich zastrzelcie…

Erskyll, po krótkiej chwili napływu stanowczości, ponownie gapił się na ekran pokazujący wnętrze Sali Konwokacji, w której ciała ciągle były ładowane na platformy, jak czarne worki z ziarnem. Lanze Degbrend przywołał robota, kazał mu podać whisky z wodą sodową i wręczył ją Prokonsulowi.

– Dalej, hrabio Erskyll, proszę wypić do dna. Dla celów medycznych – polecił mu. – Proszę mi wierzyć, z pewnością pan tego potrzebuje.

Erskyll wypił jednym haustem.

– Zdaje się, że prosiłbym o jeszcze jedną, jeżeli nie sprawiłoby to panu kłopotu – powiedział, oddając szklaneczkę Lanze. – I jeszcze papierosa. – Potem spróbował drugiego drinka, wydmuchnął dym z papierosa i wyznał: – Byłem taki dumny z siebie. Myślałem, że uczyli się demokracji.

– My wszyscy, co do jednego, nie mamy zbyt wielu powodów do dumy – odparł Degbrend. – Oni musieli to planować i przygotowywać już od wielu miesięcy, a my nigdy nie słyszeliśmy nawet pogłosek na ten temat.

To była prawda. Wyzwoleńcy zwiedli Erskylla, pozwalając mu myśleć, że mają zamiar skłonić Panów, aby sami głosowali za pozbawieniem się władzy i ustanowieniem reprezentatywnego rządu. Zwiedli Panów, pozwalając im wierzyć, że odpowiada im obecne *status quo* i sprzeciwiają się planom Erskylla, demokratyzacji i socjalizacji. W konspiracji musiało być jedynie kilku z nich. Chmidd, Hozhet, Zhannar, Schferts i cała reszta kliki głównych niewolników z Cytadeli. Wspólnie razem, kontrolowali całość sił zbrojnych. Kłótnie i rywalizacja były niewątpliwie częścią kamuflażu. Jurgen przypuszczał, że kilku wyższych dowódców armii, musiało również brać w tym udział.

Z głośników komunikatora zaczęły dobiegać jakieś dźwięki. Ktoś pstryknął przełącznikiem, i na ekranie pojawił się Khreggor Chmidd.

Erskyll zaklął pod nosem i podszedł, aby stanąć przed widocznym na monitorze słoniowatym ex-niewolnikiem, ex-Lorda Pana, świętej pamięci Rovarda Javasana.

– Obywatelu Prokonsulu, dlaczego nasza stacja nadawcza, która jest krytycznie potrzebna do przekazywania ludziom informacji, została zagłuszona i zniknęła z eteru? Zaś wiadomości transmitowane przez was, na naszej długości fali, doradzają kryminalistom z byłej klasy Panów, poszukiwanie schronienia w pańskim Pałacu Prokonsularnym? Dlaczego chronicie ich przed sprawiedliwą zemstą uciemiężonych ofiar ich trwającego przez stulecia wyzysku? – rozpoczął. – To ohydne pogwałcenie Imperialnej Konstytucji. Nasz Imperator nie będzie zadowolony z tej niczym nieusprawiedliwionej interwencji w sprawy wewnętrzne i ingerowania w decyzje rządu planetarnego Ludowej Wspólnoty Adityi!

Obray Erskyll musiał sobie uświadomić, po raz pierwszy, że ciągle trzymał w jednej ręce szklaneczkę po whisky, zaś w drugiej papierosa. Odrzucił obie rzeczy od siebie.

– Jeżeli imperialni żołnierze, których właśnie wysyłamy do miasta na ratunek kobietom i dzieciom, zagrożonym przez twoich łobuzów, spotkają się choćby z najmniejszym oporem, nie będziesz miał możliwości dowiedzieć się, co Jego Wysokość o tym myśli, ponieważ admirał Shatrak każe rozstrzelać ciebie i twoich wspólników w Sali Konwokacji, gdzie zmasakrowaliście prawowity rząd tej planety – warknął z wściekłością.

A więc prawdziwy Obray, hrabia Erskyll w końcu wyłonił się na powierzchnię. Cała ta otoczka liberalizmu, socjalizmu, egalitaryzmu, Pomocnej Dłoni, Pochodni-Demokracji, idealizmu, były tylko zewnętrzną dekoracją, wytworzoną w ciągu ostatnich sześciu lat spędzonych na uniwersytecie. Przez poprzednie dwadzieścia cztery lata, od samego dnia narodzin, dosłownie wszyscy: jego rodzice, jego niania, jego guwernantka, jego nauczyciele, wpajali mu co to znaczy być Erskyllem z Aton, wnukiem Errola, księcia Yorvoy. Spoglądając na widocznego na Khreggora Chmidda, jego gniew jeszcze narastał, jeżeli w ogóle było to możliwe.

– Czy wiecie, co zrobiliście, wy krwiożercze imbecyle? – napierał na wyzwoleńca. – Właśnie zamordowaliście, razem z tymi tysiącami ludzi, jakieś pięć miliardów koron, środków niezbędnych do sfinansowania wszystkich tych wspaniałych planów modernizacyjnych i industrializacyjnych. Chyba że jesteście na tyle głupi, żeby myśleć, że Imperium wynagrodzi was za tego rodzaju emancypację, i zapłaci wam te pieniądze.

– Ale, Obywatelu Prokonsulu…

– I nie nazywaj mnie Obywatelem Prokonsulem! Jestem szlachcicem Imperium Galaktycznego, a na tej zafajdanej planetce, reprezentuję Jego Cesarską Wysokość. Masz okazać należyty respekt, i zwracać się do mnie w odpowiedniej formie!

Khreggor Chmidd nie nosił już niewolniczego kołnierza, ale jak kiedyś zauważył Lanze Degbrend, ciągle był on wytatuowany na jego duszy. Przełknął ślinę.

– T… tak, Lordzie-Panie Prokonsulu!

Ponownie zebrali się wszyscy razem, w dużej sali konferencyjnej, którą Vann Shatrak wykorzystywał przez cały dzień, jako zaimprowizowane Centrum Dowodzenia. Opadli ze zmęczeniem na krzesła, paląc papierosy i pijąc kawę. Z niepokojem przesuwali wzrok od ekranu do ekranu, zastanawiając się skąd i jak szybko mogą pojawić się kolejne kłopoty. Na dworze zrobiło się już ciemno. Z dachu Pałacu Prokonsularnego, z dachów czterech otaczających go budynków, które oczyściły i zajęły wojska imperialne, oraz z unoszących się w górze pojazdów kontragrawitacyjnych, okolicę zalewały oślepiającym blaskiem promienie reflektorów. Światło i krzątaninę widać było również w Cytadeli i znajdującym się na południowym wschodzie Mieście Niewolników. Reszta Zeggensburga była ciemna i cicha.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli dalsze kłopoty – stwierdził admirał Shatrak. – Oni nie będą aż tak głupi, żeby zaatakować nas tutaj, teraz kiedy wszyscy Panowie, poza tymi, którym my udzielamy azylu, już nie żyją.

– Ilu ludzi udało nam się uratować? – spytał go hrabia Erskyll.

Ośmiuset kilkudziesięciu, brzmiała odpowiedź Shatraka. Erskyll złapał głęboki oddech.

– Tylko tylu! Przecież dzisiaj rano było ich w tym mieście niemal dwadzieścia tysięcy.

– Jestem zaskoczony, że aż tylu uratowaliśmy – zauważył Lanze Degbrend. Nadal miał na sobie ubiór polowy, a pas z pistoletem leżał obok niego na krześle. – Większość z nich została zabita już w ciągu pierwszej godziny.

A to oznaczało, zanim jeszcze wylądowały promy ze statku, i kiedy mieli do dyspozycji tylko siedmiuset ludzi i czterdzieści pojazdów. Sam Jurgen także wyruszył z nimi. Po raz pierwszy od niemal trzydziestu lat, nie licząc zawodów sportowych, miał na sobie mundur polowy i hełm, oraz nosił broń. To była paskudna, krwawa sprawa. Jedyne co pragnął, to zapomnieć o niej, tak szybko jak to tylko możliwe. Były chwile, że widząc okaleczone zwłoki Pańskich kobiet i dzieci, musiał się usilnie sobie przypominać, że jest tutaj w celu zapobiegania masakrze, a nie po to aby brać w niej udział. Niektórzy ludzie Ravneya, nawet nie próbowali tego robić. Okrucieństwo cechuje się straszliwą łatwością do przekształcania się w usprawiedliwienie dla kolejnych okrucieństw.

– Co z nimi zrobimy? – spytał Erskyll. – Nie możemy ich tak sobie wypuścić. W ciągu kilku godzin zostaliby wymordowani, a w każdym razie i tak nie mają gdzie się podziać. Wspólnota – wypowiedział to słowo, które przecież sam wybrał, jakby oznaczało ono coś obscenicznego – znacjonalizowała całą Pańską własność.

Zostało to ogłoszone niemal natychmiast, jak tylko odblokowana została stacja teletransmisyjna w Cytadeli, a wkrótce potem zaczęli napotykać oddziały żołnierzy Yakoopa Zhannara i policji Zhorzha Khouzhika, wysłane w celu powstrzymania grabieży i wandalizmu, oraz aby zająć Pańskie pałace. Z Miasta Niewolników dolatywały wyraźne

odgłosy strzelaniny. Najwyraźniej ex-niewolnicy musieli zostać przekonani do tego, że nie wolno im plądrować i niszczyć swoich miejsc zatrudnienia.

– Ewakuujemy ich poza planetę – zaproponował Shatrak. – Zaraz jak tylko przyleci tutaj *Algol*, załadujemy ich wszystkich na *Mizara* lub *Canopusa*, i gdzieś wywieziemy. Ghu tylko wie, jak będą dalej żyli, ale…

– Och, drogi admirale, oni nie będą jakimiś nędzarzami, ani nie zostaną żebrakami na garnuszku publicznym – wtrącił Jurgen. – Wie pan przecież, że należy im się szacunkowo pięć milionów koron rekompensaty za uwolnionych niewolników, i kiedy wrócę na Odina, mam zamiar reprezentować jak najusilniej tych ocalałych, aby wypłacono im całą sumę. Ale równie usilnie nie będę zalecał, przesiedlenia ich na Odina. Z całą pewnością nie będą nam wdzięczni za tę dzisiejszą sprawę, a na Odinie mogliby bez trudu wzburzyć jakieś bardzo nam przeciwne publiczne sentymenty.

– Moja rezygnacja będzie odpowiednią odpowiedzią, na jakikolwiek krytyczne opinie klasy rządzącej, jakie może zgłaszać opinia publiczna – rozpoczął Erskyll.

– Och, głupstwa. Nie mów o żadnej rezygnacji, Obray. Popełniłeś tutaj kilka błędów, chociaż trudno byłoby mi wymyślić lepszą planetę w Galaktyce, na której mógłbyś je popełnić. Nie ważne, co zrobiłeś, albo czego nie zrobiłeś, to i tak w końcu by się tak potoczyło.

– Naprawdę tak myślisz? – Obray, hrabia Erskyll z desperackim niepokojem potrzebował upewnienia się w tej kwestii. – Może gdybym nie upierał się tak bardzo w sprawie tej konstytucji…

– Nie zrobiłoby to najdrobniejszej nawet różnicy. My wszyscy sprawiliśmy, że taki rozwój spraw był nieunikniony, po prostu, poprzez sam fakt naszego przybycie. Przed naszym przylotem na tę planetę, byłoby to niemożliwe. Żaden z niewolników, nie był w stanie nawet wyobrazić sobie społeczeństwa bez Lordów-Panów. Słyszałeś przecież Chmidda i Hozheta, tego pierwszego dnia, na pokładzie *Empress Eulalie*. Niewolnik musiał mieć swojego pana, nie mógł tak po prostu nie należeć do nikogo. A dopóki nie zacząłeś opowiadać im o socjalizacji, nikt nie potrafił wyobrazić sobie własności, bez klasy Pańskich właścicieli. Masakra podobna do tej, byłaby niemożliwa do zorganizowania i przeprowadzenia. Przede wszystkim wymagała ona złożonej roboty konspiracyjnej, a dopóki ich nie wyzwoliliśmy, żaden z niewolników nie ośmielał się zaufać innemu niewolnikowi. Każdy z nich mógłby zdradzić pozostałych, aby zyskać względy swojego Lorda-Pana. To my nauczyliśmy ich, że nie potrzebują już więcej Lordów-Panów, ani Pańskich względów. Ponadto postawiliśmy ich w sytuacji, której nie pokrywały ustalone rutynowe procedury postępowania, zmuszając ich do samodzielnego myślenia, co początkowo musiało boleć jak Niflheim. Przeszkoliliśmy ponownie armię, oddając ją potem Yakoopowi Zhannarowi, oraz zainspirowaliśmy Zhorzha Khouzhika do organizacji Policji Pracy, a fundamentalnie mówiąc, żaden rząd nie jest niczym innym, jak właśnie uzbrojoną siłą. Naprawdę, Obray, nie wiedzę, o co mógłbyś tutaj zostać obwinionym, poza, być może przyśpieszeniem nieco, tych nieuniknionych procesów.

– Czy myślisz, że tak samo będą to widzieli w Asgardzie?

– Chodzi ci o Premiera i Jego Wysokość? W taki sposób im to przedstawię. Był jeszcze jeden powód, dla którego chciałem zostać tutaj trochę dłużej. Przewidywałem, że może będziesz potrzebował wiarygodnego świadka tego co się tutaj wydarzy – odparł Jurgen. – Teraz zostaniesz tutaj na parę lat, nie więcej niż pięć, a potem dostaniesz awans w jakimś innym miejscu. Nikt nie zostaje dłużej niż pięć lat na swoim pierwszym przydziale Prokonsularnym. Po prostu trzymaj oczy i uszy, a już specjalnie rozum, otwarte, dopóki tutaj siedzisz. Nauczysz się wielu rzeczy, o jakich nie śniło się wykładowcom wydziału nauk politycznych na Uniwersytecie Nefertiti.

– Powiedziałeś, że popełniłem błędy – przypomniał Erskyll, gotów do natychmiastowego wzięcia się za naukę.

– Tak. Jeden z nich wskazałem ci już, jakiś czas temu: emocjonalne zaangażowanie się w sprawy miejscowych grup interesów. Niemal natychmiast zacząłeś sympatyzować z tutejszą klasą niewolniczą. Nie wydaje mi się, aby ktokolwiek z nas dowiedział się o nich czegoś, czego inni nie wiedzą, a jednak ja uznałem ich za godnych pogardy, co do jednego. Dlaczego ty doszedłeś do wniosku, że oni są warci twojej sympatii?

– Dlaczego? Ponieważ… – Przez chwilę zagłębił się w swoje odczucia tak głęboko, jak tylko mógł. Jego motywacja była raczej wzgórzowa niż korowa, i miał kłopot z jej uzewnętrznieniem werbalnym. – Oni byli *niewolnikami*. Byli wykorzystywani i ciemiężeni…

– No i, oczywiście, ich wyzyskiwacze byli bandą nieczułych nikczemników, co czyniło niewolników dobrymi i cnotliwymi niewiniątkami. To był twój prawdziwy, fundamentalny błąd. Wiesz, Obray, zdeptany i długo cierpiący proletariat absolutnie nie jest ani dobry, ani niewinny, ani szlachetny. Oni są po prostu niekompetentni. Brak im możliwości potrzebnych dla otwartego łajdactwa. Sam widziałeś, dzisiejszego popołudnia, do czego są zdolni, kiedy tylko da im się odpowiednią okazję. Wiesz, wyciągnięcie ręki do bezdomnego psa, jest czymś całkiem w porządku, ale tylko jednej ręki. Drugą rękę trzymaj wtedy na rękojeści pistoletu –– albo on spróbuję ugryźć tę, którą mu podałeś! Jak może zauważyłeś dzisiejszego dnia, kiedy psy wyrwą się na wolność, mają tendencję do zmieniania się w wilki.

– Jak pan myśli, co Wspólnota zbuduje na tej planecie, pod rządami Chmidda, Khouzhika i całej reszty? – spytał Lanze Degbrend, aby podtrzymać tok wykładu.

– Och, niewątpliwie państwo niewolnicze. Spójrz tylko kto za tym wszystkim stoi, kto będzie dalej rządził. Oczywiście nie tego rodzaju państwo niewolnicze, abyśmy mogli z tym cokolwiek zrobić – dodał pośpiesznie. – Wspólnota będzie bardzo zasadnicza, w określeniu, że istota rozumna nie może być niczyją własnością. Ale cała pozostała własność, będzie należała do Wspólnoty. Przypomnij sobie tę uwagę Chmidda: „To będzie należało do wszystkich, ale ktoś będzie musiał się tym zaopiekować, dla dobra wszystkich. A to będzie już sprawą twoją, moją i reszty nas tutaj siedzących”.

Erskyll zmarszczył brwi.

– Pamiętam to. Ta uwaga nie spodobała mi się już wtedy. Zabrzmiała tak…

Niezgodnie z charakterem dobrych, pełnych cnoty proletariuszy. Prawdę mówiąc, niemal po Pańsku. Jurgen mówił dalej:

– Wspólnota będzie jedynym pracodawcą, jak również jedynym właścicielem, a każdy kto będzie chciał jeść będzie musiał pracować dla Wspólnoty i na warunkach Wspólnoty. To jest Chmidda, Hozheta i Khouzhika, Jeżeli nie jest to zastąpienie otwartego niewolnictwa peonażem, to ja nie wiem co znaczy słowo peonaż. Zobaczysz, że Aditya pozostanie w Imperium, dostosuje się do konstytucji, i nie będzie sprawiała kłopotów nikomu poza planetą. Sądzę, że nie będziesz miał tu trudnego życia. Będą grzeczni, dopóki nie dopuścisz ich do środków, pozwalających im na inne zachowanie. I upewnij się, żeby ciągle zwracali się do ciebie Lordzie-Panie Prokonsulu.

Prowadzenie wykładów, jak się zorientował, wysusza gardło. Wezwał więc robota-barmana.

– Hej, niewolniku! Obsłuż swojego Lorda-Pana!

Musiał skorzystać ze swojego ultrafioletowego ołówkowego lasera, aby przekazać to polecenie, wybierając na tarczach brandy z wodą sodową, którą chciał zamówić. Dopóki tego typu rzeczy były konieczne, nie trzeba było niczym się przejmować. Ale pewnego dnia zbudowane zostaną roboty, potrafiące uprzedzać polecenia, oraz roboty do operowania robotami, roboty do ich nadzorowania, i…

Nie. Nigdy nie dojdzie do czegoś takiego. Niewolnik jest niewolnikiem, ale robot jest tylko robotem. Dopóki trzymają się robotów, są rozsądnie bezpieczni.

KONIEC